Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

ŁOWIEC POLSKI



Wilk. Z polowań Poleskiego Towarzystwa Myśliwskiego. Fot. J. Regulski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 2 (850) 10 STYCZNIA 1937 R.



Droga do kniei. Fot. Dyr. A. Piasecki.

CZY POLSKIM MYŚLIWYM POTRZEBNA JEST LITERATURA ŁOWIECKA?

Pytanie, zdawałoby się — dziwne, jednak, niestety, bardzo aktualne. Zarzuca się organizacjom łowieckim z Polskim Związkiem Stowarzyszeń Łowieckich na czele, że są za mało ruchliwe w dziedzinie wydawnictw łowieckich. Pierwszy w Polsce numer czasopisma młodzieży łowieckiej w Wilnie „Młode łowiectwo" („dodatek do dodatku" — „Trąbki myśliwskie" Nr. 5 z dn. 8.XI. r. b.) wręcz żąda od starszego społeczeństwa myśliwskiego „wydania i rozpowszechniania książki, którąby zawierała najważniejsze postulaty z łowiectwa, hodowli zwierzyny oraz obchodzenia się z bronią na polowaniu" (art. p. A. Dobrskiego). Co czas pewien słyszymy, że tu i owdzie walne zebrania organizacyj łowieckich zwracają się do swych zarządów z wezwaniem nasilenia akcji wydawniczej. Pozatem każdy z nas, obracając się w światku myśliwskim chociażby tylko przy okazji polowań, wie dobrze, że conajmniej połowa uczestników tych polowań ma bardzo, bardzo słabe pojęcie o elementarnych zasadach łowiectwa, jak to: o życiu naszej najpospolitszej zwierzyny, o głównych zasadach jej hodowli, o dobrych obyczajach myśliwego (t. j. o t. zw. etyce recte kulturze łowieckiej), o najprostszych zasadach balistyki t. j. strzału śrutowego i kulowego etc.

Na podstawie powyższego stwierdzić możemy bez przesady, że wśród olbrzymiej większości myśliwych polskich istnieje zastraszający brak znajomości p o d s t a w ł o w i e c t w a. Zdawałoby się, że ten brak powinien zkolei stworzyć już nie popyt handlowy na podręczniki, traktujące popularnie i naukowo o materjałach łowieckich, lecz poprostu głód na takie podręczniki.

A jak jest naprawdę?

Sięgnijmy przedewszystkiem do statystyki. Ruchliwy, dzielny i niezwykle płodny autor łowiecki p. Mieczysław Mniszek-Tchorznicki wydał w r. b. ciekawą broszurę p. t. „Próba uporządkowania bibljografji łowieckiej w odrodzonej Polsce". Broszura ta obrazuje może niekompletnie, lecz conajmniej zgrubsza, cały dorobek piśmienniczo-łowiecki od chwili odzyskania niepodległości. W dorobku tym naliczyłem 247 prac, mających charakter książek łowieckich, pomijając roczniki czasopism, statuty i regulaminy, katalogi i kalendarze. Pominąłem również publikacje z dziedziny ochrony przyrody. Z tych 247 prac zakwalifikowałem jako fachowo-łowieckie 138 pozycyj, a więc przeszło połowę: — resztę stanowią dzieła i dziełka o charakterze beletrystycznym (powieść, nowela, poezje). Jednak z tych 138 dzieł i dziełek fachowych 75 pozycyj są to krótkie broszurki wydane najczęściej jako odbitki z czasopism, nieraz w b. nieznacznej ilości kilkunastu egzemplarzy, a przeto zarówno ze względu na rozmiary swe nie zasługują na miano dzieł fachowo-łowieckich, jak i ze względu na ilość nakładu nie mogą przyczynić się do zaspokojenia ewentualnego „głodu" u czytelników - myśliwych. A więc zaledwie 63 dzieła fachowo-łowieckie ukazały się w Polsce w okresie 1918—1935 t. j. w ciągu 17 lat!

Nie będę pogłębiał dalej tej smutnej statystyki i nie będę badał, ile prac z tej ogólnej ilości 63 zasługuje w 100% na nazwę „dzieł", t. j. mniej lub więcej gruntownie i obszernie opracowanych podręczników. Wystarczy, jeżeli powiem, że mamy tylko jeden, zupełnie współczesny, nieprzestarzały i wszechstronny podręcznik, traktujący o łowiectwie, jako o c a ł o ś c i. I wystarczy, jeżeli powiem, że dotąd nie mamy monografji rysia, bielaka i szeregu innych pospolitych gatunków zwierzyny.

Zdawałoby się, że taka nieduża ilość dzieł fachowo-łowieckich powinna była spowodować całkowite wyczerpanie tych dzieł. Niestety, tak nie jest. „Głodu" literatury fachowo-łowieckiej nie obserwujemy wśród naszej 50-tysięcznej rzeszy zarejestrowanych myśliwych.

„Jeden jeszcze ciekawy, a zarazem smutny objaw zaboserwowałem na wystawie — pisze p. J. Wł. Kobylański w swych wspomnieniach o wystawie lwowskiej — przez 24 dni po 12 godzin dziennie stał w pawilonie łowieckim do dyspozycji kulturalnych myśliwych kiosk księgarni Gubrynowicza, bogato wyposażony w polskie i obce wydawnictwa myśliwskie... Nie wielu było takich, którzy tu przystanęli, a jeszcze mniej tych, którzy cokolwiek tu nabyli.*)

A teraz drugi przykład. Wr. 1935 p. prezes inż. Bolesław Świętorzecki wydał obszerne, bogato ilustrowane dzieło p. t. „Podstawy łowiectwa i zarys teorji strzału śrutowego". Właśnie to dzieło miałem na myśli, pisząc wyżej o „jednym, zupełnie współczesnym, nieprzestarzałym i wszechstronnym podręczniku, traktującym o łowiectwie, jako o całości". Nazwisko i autorytet autora tej książki nie wymaga komentarzy — nawet wobec naszych najbardziej zacofanych pp. myśliwych. A treść książki spotkała się z nadzwyczaj pochlebną oceną na łamach wszystkich naszych czasopism łowieckich („Łowiec P.", „Łowiec" lwowski, wileńskie „Trąbki myśliwskie"). Minął rok i — cóż się okazało? Oto tego jedynego w Polsce wszechstronnego i współczesnego podręcznika łowiectwa sprzedano w ciągu roku 357 egzemplarzy! To już nie abstynencja, ale coś, co pachnie skandalem...

Co do „wstrzemięźliwości" naszych myśliwych polskich, to niejedno gorzkie słowo dałoby się tu powiedzieć. Nie jesteśmy wstrzemięźliwi, gdy chodzi o sypanie śrutem na prawo i lewo na najbardziej nieprawdopodobne mety, byle tylko wystrzelać humorystyczny, a nawet poprostu głupi tytuł króla polowania. Nie jesteśmy wstrzemięźliwi, opychając się po polowaniu bigosem i okraszając ten bigos odgrzewaną łaciną myśliwską. Nie jesteśmy również wstrzemięźliwi, gdy reklamujemy urbi et orbi kraj nasz, jako raj dla myśliwych...

Jesteśmy natomiast bardzo wstrzemięźliwi, gdy chodzi o wpłacenie składki do ideowej organizacji łowieckiej, o zaprenumerowanie czasopisma łowieckiego, o ubezpieczenie swej straży łowieckiej od nieszczęśliwego wypadku, lub siebie samych od odpowiedzialności cywilnej, o wydanie kilku złotych na kupienie ciekawej i pożytecznej książki łowieckiej.

To już będzie pytanie nie ironiczne, lecz wręcz tragiczne: czy polskim myśliwym potrzebna jest literatura łowiecka?!

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.

W KARPATACH.

Prawdziwy urok wywierają nasze karpackie knieje. Natrudzi się myśliwiec, nawet do strzału nie dojdzie, ale jeszcze przedsionka gór nie opuścił, a już marzy o ponownych odwiedzinach.

Korzystając z ułatwień, jakiemi obecnie Lwowska Dyrekcja Lasów Państwowych umożliwia prawie każdemu myśliwemu zapolowanie na czarnego zwierza w swych rozległych karpackich rewirach, wybrałem się z kilku towarzyszami w początkach ubiegłego miesiąca w Gorgany Zachodnie. Mieliśmy do rozporządzenia kilka sąsiadujących ze sobą nadleśnictw, ogólnej przestrzeni ponad 30 tys. ha, było zatem gdzie szukać przygód przez kilka dni.



Wyjazd na polowanie. Fot. J. hr. Dunin-Karwicki.

Niestety, zaraz na początku wyprawy doznaliśmy zawodu. Śnieg, który w tych stronach padał przez dni 4 i 5 grudnia, pod wpływem pięknej, słonecznej pogody dni następnych ginął w oczach z przerażającą szybkością, a razem z nim ginęła możność tropienia dzików, co ograniczało możliwość spotkania się z czarnym zwierzem do minimum.

Pierwszego dnia polowaliśmy w pięć strzelb w Mizuniu. Wdrapaliśmy się rankiem na dość wysoką górę, zajęliśmy stanowiska wzdłuż grani, a dwaj gajowi z psami ruszyli w miot. Stado dzików zaległo nieco dalej, niż przewidywali gajowi (ach, ten brak śniegu!) i wyszło bez strzału. Zato w drugim miocie dostały się cztery dość duże dziki pod lufy dwóch moich towarzyszy. Jeden 80 kg dzik został na miejscu, drugi lekko raniony zniknął w gąszczach pierwszego miotu. Nie pomógł karkołomny pościg za głosem psa, pościg naoślep przez gąszcze buku i świerku, przez potoki i po zboczach. Stary „Prinz", bez żadnego już zęba, weteran, głosił tylko, ale nie mógł dzika na dobre zatrzymać. Potężnie zmęczony, ledwo dogoniłem pozostałych towarzyszy.

Następnego dnia próbowaliśmy jeszcze odszukać postrzałka, ale bezskutecznie. Po południu przenieśliśmy się do innego rewiru, odległego o 13 km, nazwą Oblisk. I w tym rewirze dziki są stałe, ale wciąż ta sama przeszkoda: brak śniegu uniemożliwiał dokładne otropienie. Cóż, że północne zbocza opowiadały nam, że do jednego miotu wszedł gruby pojedynek, a do drugiego kilka średnich sztuk, kiedy ani naganka, ani psy dzików nie znalazły, skoro mogły południową stroną wynieść się bez pozostawienia śladów.

Do towarzystwa dołączyło się jeszcze trzech myśliwych, którzy aż z Górnego Śląska przywędrowali, aby zakosztować wrażeń karpackich. Cóż, kiedy pierwszy dzień nie doprowadził do spotkania z dzikiem. Tylko żbik, defilując przed jednym z myśliwych i ginąc w gąszczach, zanim zdążył on strzelić, urozmaicił dzień. Trzeba się też przyznać do chybionego lisa (ale kulą, co trochę rozgrzesza).

Jutro mamy polować w dość wysokich partjach nadleśnictwa Ilemni. Trzymało się tam do ostatnich dni 3 stada dzików i 4 odyńce, ale czy uda się rano coś otropić, to jest więcej, niż niewiadome. Nocujemy u zawsze krępująco uprzejmych i gościnnych pp. Machów. Mamy dziś spać w większym komplecie, przyczem p. Rudzio znany jest ze wspaniałego chrapania. Radzi nam, aby w chwilach tragicznych lekko gwizdnąć, to na 15 minut przestanie. Dobrze nam radził. Ilekroć rozchrapał się na dobre, jeden z nas świstał i p. Rudzio przestawał, jakby nożem uciął. Cóż z tego, kiedy i tak spać trudno było: albo p. Rudzio chrapał, albo śmialiśmy się z wynalazku świstania.

*) Łow. Pol. Nr. 33 (845) str. 641.

Wczas rano jedziemy leśną kolejką pod komendą p. inż. Macha do jego rewirów, szukać szczęścia. Pogoda wciąż przepiękna, rano mróz do 10° C, niebo bez chmurki prawie przez cały dzień. Powietrze kryształowe, widoki cudne, oby tylko mieć spotkanie! Kolejka dowiozła nas (aż 14 km.) do kresu swej trasy. Teraz drapiemy się trochę w górę, a potem jeszcze 2 km ścieżką leśną wśród praboru karpackiego. Wszędzie pełno tropów dzików, jeleni, sarn. Tam w głębi padł niedźwiedź z ręki pierwszego myśliwego w Polsce, Pana Prezydenta Mościckiego.

Stajemy wreszcie na stanowiskach. Pomiędzy mojem a stanowiskiem sąsiada jest wejściowy trop grubego dzika. Może właśnie będzie tędy wracać? Ruszyła naganka. Gdzieś z głębi potoku dolatują stłumione nawoływania pnących się do góry Hucułów. Przechodzi koło mnie łania, potem byk. Cóż on za hałas wyczynia, gdy mknie susami, łamiąc wieńcem i racicami gałęzie w górze i na ziemi. Wtem strzał, za chwilę drugi. Znów cisza. Jeszcze coś łamie pomiędzy mną a sąsiadem, ale nie mogę nic dojrzeć.

Powoli ściągają towarzysze. Kto strzelał? Oczywiście p. Kazimierz (już ma dzika, to musiał i drugi wyjść na niego!), ale dzik ciężko ranny, jakby z opowiadania wynikało, poszedł w sąsiedni miot. Próbujemy go raz i drugi wydusić na myśliwych. Za każdym razem wymyka się od strzału pod samemi lufami. Oddajemy postrzałka opiece gajowego, sami musimy wracać. Czeka nas jeszcze podróż końmi z powrotem na nocleg w Wygodzie, z wielkiem staraniem przygotowany przez p. radcę Moora i kierownictwo państwowego tartaku. Czternaście km., dzielące nas od nadleśnictwa, zjeżdżamy na wózkach, tocząc się z góry siłą własnej ciężkości, miejscami wcale pokaźnej. Muszę przyznać, że kompanja nasza była bardzo karna. Mimo trudów dnia i przechichotanej nocy, siadają wszyscy zaraz po posiłku na huculskie furki i walimy znów 13 km w mroki nocy, aby dostać się do miejsca jutrzejszego wypadu.

Dzięki połączeniom telefonicznym mogę organizować dzień po dniu polowanie w rewirach, odległych od siebie do 60 km, a zawdzięczając to oczywiście niezwykle dobrym chęciom panów nadleśniczych, którzy doprawdy dokładali wszelkich starań, abyśmy mimo fatalnych warunków (ach ten śnieg!) mogli dojść do strzału i nie tracili czasu.

Ostatni dzień łowów. Mimo już dość dużego zmęczenia całego towarzystwa, pobudka o godzinie 5 rano przechodzi gładko i o godz. 6 siedzimy w leśnej kolejce, aby po 90 minutach jazdy dotrzeć do rewiru w Sołotwinie Mizuńskiej, oddalonego o 20 km od Wygody. Czeka tu już p. inż. Dziuba, który nas dziś gości. Jak zwykle, musimy mocno piąć się pod górę, ale co za widoki właśnie tam z góry przy wciąż przepięknej pogodzie! Tylko te dziki!...

Pierwszy miot jest pusty. Pieski, z któremi polujemy, nic nie wytropiły. Przenosimy się do następnego miotu, oddalonego o 9 km, znów przy pomocy kolejki, skąd mamy telefoniczną wiadomość, że udało się otropić stado dzików. Już jest późno, musimy się dobrze śpieszyć. Ale przecież o godz. 14 min. 15 jesteśmy na stanowiskach. Punkt godz. 14 min. 30 gajowy puszcza psy i strzela z rewolweru.

Po dłuższej chwili ciszy słyszę gon. Gon kieruje się na lewe skrzydło, potem zawraca, ginie gdzieś w głębi miotu, aby na chwilę odezwać się na prawem skrzydle. Cisza. Wtem strzał, drugi, trzeci... To chyba p. Dominik kropi ze swego automatu. Czekam jeszcze z 10 minut, ale cisza już jest beznadziejna.

Schodzimy. Rzeczywiście p. Dominik kropnął dziczka, prawie takiego samego, jak p. Kazimierz pierwszego dnia. Ale gdzie się podział p. Rudzio, który stanął pierwszy? Leśniczy oznajmia, że psy goniły niedźwiedzia. Gdzież podział się p. Rudzio, koło którego gon przechodził? Wracamy szybko, trochę niespokojni. Znalazł się p. Rudzio, już od 30 minut czeka na nas przy motorze, którym mamy zjechać do Wygody. Dlaczego tak wcześnie ze stanowiska?



Z polowań Poleskiego Tow. Myśliwskiego.
Fot. J. hr. Dunin-Karwicki.

— Ano, bo widzicie, było tak. Słyszę gon psa, ujada w miejscu poniżej mnie. Schodzę więc nieco niżej. Widzę czarną plamę. Jeszcze parę kroków, plama rusza się: niedźwiedź... Mój chłopiec w nogi. Ja stanąłem za drzewem i jak tylko niedźwiedź poszedł za górę, nie czekałem, zwłaszcza, że już ściemniało się i pośpieszyłem za chłopcem. Przyznaję, że się najadłem strachu.

Opuszczaliśmy knieję o godz. 17. Pięć i pół godzin później na dworcu czerniowieckim we Lwowie, przy kieliszku wina, żegnaliśmy się. Przepraszam, nie żegnaliśmy się. Powiedzieliśmy sobie tylko: dowidzenia. Dowidzenia w styczniu, skoro tylko będzie śnieg — wszyscy, jak tu jesteśmy, mamy się znów spotkać w Gorganach. Mimo, że utrudziliśmy się i mało kto do strzału doszedł, ale znów pragniemy znaleźć się w Karpatach.

Przedziwny urok wywiera karpacka knieja nasza!

JERZY BŁESZYŃSKI

T R O P.

Wije się, plącze, na zaspie głębokiej
skręca się w pętle, urywa się, znika
trop zawikłany — kopyry szaraka...
Tutaj przykucnął, tam zrobił odskoki
w strachu wielkiemi susami pomykał,
zaspę przesadził — i zamarł przy krzaku.

*

Łączkę przechodził, sznurując wzorowo,
rabuś-mykita, rozglądał się, węszył,
badał dokładnie zajęcze fortele.
Księgą otwartą dlań była ponowa.
Ruszył po tropie, bo głębszy i tęższy
rozum posiadał, niż szarak — o wiele.

*

Wkrótce, myszkując, natrafił na świeży
odskok szaraka. Przyczołgał się bliżej...
Stanął nad białą przytulną kotliną,
w której kopyra urządził swe leże.
Skoki zawiodły sprężyste i chyże —
szarak się zdrzemnął na chwilę i zginął.

W. L. von FALKENAU

ZAGAJNIK.

„Zagajnik"... Właściwie zagajnikiem nazywał się słusznie około 45 lat temu, ale nazwa ta przylgnęła do niego tak, że gdyby go nawet zamienić na pole (to mu nie grozi, gdyż należy do kategorji lasów ochronnych), miejsce to zostałoby zawsze „Zagajnikiem". Chłopi i służba nazywają go „młodym lasem", co w istocie wychodzi na jedno. W rzeczywistości jest to lasek sosnowo-brzozowy, przestrzeni około 95 morgów dość rzadki, z lichem podszyciem, naogół pusty i jałowy. Choć zasadniczo nigdy w zwierzynę specjalnie nie obfitował, zawsze był i jest ośrodkiem zainteresowań myśliwych w P.



Naganka obstawia miot. Fot. Inż. E. Woynicki.

Jest to poniekąd słuszne, gdyż „Zagajnik" jest naturalnym przesmykiem między dwoma dużemi kompleksami lasów, choć się z niemi nie styka bezpośrednio, a bywał już terenem rozmaitych ciekawych spotkań, najczęściej niespodziewanych. Normalnie bywa tu kilka szaraków, choć i to niezawsze, często przemyka się tędy rudy mykita, idąc na swój zbójecki proceder, ma tu nawet w paru miejscach swoje nory. Zdarza się jednak, że w mroźny zimowy dzień zbiera się tu tyle zajęcy, że w razie polowania kanonada nie ustępuje polowaniom kujawskim!

Z lasem tym łączy się moc wspomnień myśliwskich. Wszak tu nawet zabił swego pierwszego lisa znany bractwu św. Huberta „Wuzet"... Dawne to już dzieje, ale od tego czasu nic się tu zasadniczo nie zmieniło, może jedynie drzewa nieco podrosły.

Ja ostatnio, w listopadzie ub. r., miałem tu taką przygodę, że, będąc właściwie na objeździe lasu, zabiłem w przeciągu 5 minut lisa i pięknego rogacza. Przez „Zagajnik" również odbywają się wędrówki dzików, co widoczne jest głównie zimą po tropach, ale pewno i w innych porach roku ma miejsce, zwykle jednak odbywa się nocą. Wielokrotnie słyszało się czy to od zdyszanego chłopaka, czy też od wystraszonej baby, której „dziki drogę przestąpili", o ich obecności w dzień, ale kilkakrotnie w takich okazjach zorganizowana wyprawa okazywała się zawsze spóźnioną, a las głuchy i pusty.

Odkąd jestem wyznawcą św. Huberta, a trwa to już lat kilkanaście, właściwie tylko dwa razy spotkałem się tu z dzikami: raz w biały dzień, raz jadąc w widną noc księżycową. Trzecie spotkanie, również przypadkowe, nastąpiło właśnie niedawno — a było to tak...

27-go listopada w godzinach południowych wybraliśmy się z moim „adjutantem", Jankiem Makarukiem, spróbować szczęścia na lisy, które włóczyły się już od kilku dni. Wyprawa ta miała małe widoki powodzenia, gdyż śnieg ledwo poprószył i objazd był niemożliwy, ale, widując lisa codzień, trudno się powstrzymać — a nuż?...

Wziąłem linijkę i wyjechaliśmy pod las. Ja miałem zostać w ukryciu, a Janek piechotą lisa na mnie kierować. Lis jednak tym razem nie dał się nabrać na fortele Makaruka i w rezultacie zawieruszył się w lesie tak, że kilkakrotne „zakłady" nie dały rezultatu, więc wracaliśmy zwolna, zniechęceni, do linijki ukrytej między stertami z łubinem. Makaruk był chmurny i niekontent, jeszcze coś kombinował z tym lisem i nie chciał wracać, ale ja, uznając dzisiejsze położenie za beznadziejne, uważałem, że czas jechać na obiad.

Czytelnicy może pamiętają Makaruków: ojca i syna z mego zeszłorocznego opisu *), jednak muszę im i tutaj parę słów poświęcić. Są to typy bardzo ciekawe, niezrównani towarzysze łowów, a specjalnością ich jest objazd i napędzanie lisa. Często polowałem z nimi także na rogacza, którego również po mistrzowsku potrafią na strzał kierować. Do myśliwych przyjezdnych (o ile ich już nie poznali) odnosili się niechętnie, lub w najlepszym razie pobłażliwie, zaliczając ich w czambuł do „miastowych". Taki los spotkał tej wiosny mego kuzyna, „brzytwę" kujawską na drobną zwierzynę, który przyjechał na rogacza.

Wtedy to, aby się dostać na miejsce upatrzone, trzeba było przebrnąć około 1½ km. mokrej łąki, do chodzenia po której mój gość nie był przyzwyczajony. Nie zapomnę, jak ojciec z synem (którzy chodzili po „trzęsionce", jak po asfalcie) patrzyli na mego kuzyna, który zapadał się często powyżej kolan w błoto. Rogacza wówczas, niestety, nie zabił, bo wyszedł on na mnie, ale napatoczył mu się lis w wysokiej trawie, który, widać niedość dokładnie strzelony, uszedł. To już przebrało miarkę i Makarukowie mieli do końca kwaśne i ponure miny. Nie dopuszczają oni poprostu myśli, że można mieć zwierzynę na strzał i nie zabić jej! Stary już ma nieco przytępiony wzrok, młody natomiast (Janek) ma wzrok i słuch fenomenalny, jak na „leśnego człowieka" przystało; zawsze towarzyszy mi w moich samotnych wyprawach myśliwskich.

Otóż wracaliśmy do linijki, gdy ujrzeliśmy karbowego, który biegł od zwożonej sterty z pszenicą w naszą stronę, potykając się po ostrej podorywie i dając rozpaczliwe znaki rękoma i czapką. Stanęliśmy, jak wryci.

— Pewno lis — co?

— E nie, to coś innego!

Odpowiedź nie dała na siebie długo czekać, bo, zanim karbowy dobiegł do nas, na polu pod lasem Komarowskim ukazało się duże stado dzików, kierujące się powoli po ostrej orce w stronę „Zagajnika". Trafiliśmy zatem na jedną z tych rzadkich okazyj spotkania się ze „szczecią" i to notabene z bronią w ręku! Jednak ta broń nasunęła mi natychmiast pewne wątpliwości. Aczkolwiek to bardzo dobra strzelba kal. 12, ale mam tylko śrut N. 2, efekt wątpliwy, więc — co robić? Postanawiam strzelać tylko wtedy, o ile będę miał niedużą sztukę na dystans bardzo bliski.

Dziki widać tymczasem nas ujrzały, bo skręciły w lewo przez granicę i skryły się za brzeziną chłop-

*) „Pierwszy śnieg — pierwszy lis" Nr 3 Ł. P. 1936 r. *(Przyp. red.)*.

ską, przytykającą do „Zagajnika". Niema czasu do stracenia, puszczam się biegiem do lasu, aby znaleźć się na drodze dzików za brzeziną, Janka zaś i karbowego wysyłam za dzikami. aby im nie dali wrócić.

Wkrótce mocno zdyszany znalazłem się na skraju lasu, za brzeziną. Dzików nie widać, ale od tamtej strony pomyka wystraszony lis. Czekam jeszcze chwilę, łapiąc oddech i oto z lasu chłopskiego wysypuje się na pole całe stado; wyciąga się w sznur — 21 sztuk! Widzę je wyraźnie — mają do przejścia jeszcze około 300 metrów — domyślam się już w którem miejscu wpadną do „Zagajnika". Rozpoczynam lasem nowy bieg do miejsca, gdzie za chwilę będą już dziki. Nie wychylam się na skraj, lecz staję za jałowcem o jakieś 30 kroków od brzegu, słyszę już chrzęst śniegu — dziki idą wprost na mnie, przodem ogromny odyniec!*). Serce wali, jak młotem, stado już - już za chwilę jest w lesie... Wtem przewodnik widać mnie ujrzał i skacze w bok, ale reszta stada wali naprzód. Biorę na cel niedużego wycinka, przebiegającego o kilkanaście kroków ode mnie i... klap! Moja niezawodna strzelba nie wypaliła... Jestem tak osłupiały, że chwilę stoję bez ruchu, biorę jednak na muszkę drugą niewielką sztukę, jedną z ostatnich, i pociągam za lewy spust. Dzik pada i zaczyna się kręcić a całe stado staje, jak wryte, i patrzy na mnie. Teraz mieć dobry sztucer, lub aparat fotograficzny!

Mój dzik tymczasem wstaje i uchodzi w bok, za nim całe stado. Łamię strzelbę i cóż się okazuje: eżektor wyrzuca tylko jedną łuskę, prawą lufę miałem pustą... Jak się to stało, dotąd nie wiem. Idę za tropem — dzik farbuje obficie — przedzieram się kilkadziesiąt kroków przez gąszcze i wreszcie widzę: jest — leży! Oddycham z ulgą...

Całe stado po spotkaniu się ze mną zawróciło w tę samą stronę, skąd przyszło, zaraz za brzezina dziki natknęły się na biegnącego na strzał Janka, który bez skutku usiłował je zawrócić.. rzucając kijem. Aczkolwiek rzut celny (miał dzika o parę kroków), dziki poszły naoślep na sterty z łubinem, tam spłoszyły konia od limijki, następnie skierowały się wprost na rozbieraną stertę pszenną. Tam cała czeladź wystąpiła do boju z widłami, no ale ta utarczka skończyła się bezkrwawo, a stado poszło do odległego o 1 km lasu rządowego.

*

W ten sposób „Zagajnik" stał się terenem jeszcze jednego epizodu myśliwskiego, dla mnie specjalnie wartościowego, ponieważ „mityczne" tutaj dziki (o których słyszałem od dzieciństwa), stały się wreszcie uchwytnemi! Jeden tylko Makaruk nie podzielał całkowicie mego zadowolenia — uważał mianowicie, że... „trzeba było zabić dwa".

Może bestja miał rację, bo okazja była...

JERZY SZANIAWSKI.

*) Napewno locha. *(Przyp. red).*

WRAŻENIA Z BRYTYJSKIEJ KOLUMBJI.

(Ciąg dalszy).

— Well, well! Do ranka jeszcze daleko. Co to za szczęście, że przynajmniej ogień mamy. Nie trzeba narzekać. W gorszych już bywałem tarapatach. Jutro trzeba będzie jednak dobrze poszperać. Pumy, wie pan, nie mają określonej pory godowej (kopulacyjnej). W każdym czasie spotka pan matki, karmiące młode, kotne samice i usłyszy pan ten rozdzierający wrzask, który wydają w okresie rui te zwierzęta. Jutro, o ile się okaże, że strzelone zwierzę napewno było jałowe, po pewnych znamionach w wyglądzie sromu będę mógł stwierdzić, czy upolowana samica nie przechodziła przypadkiem okresu rui. W wypadku pozytywnym z całą pewnością tu blisko w okolicy znajdziemy świeży trop samca.

Poranna mgła gęsto jeszcze otulała widnokręg, kiedy, pogięci niewygodami tej nocy, wstaliśmy od szarzejącego i tylko żarzącemi się głowniami przebłyskującego ogniska, aby wrócić na miejsce, gdzie puma, wczorajszego wieczora strzelona, leżała pod drzewem.

Nie będzie to przesadą, jeżeli powiem. że odnalezienie jej mam do zawdzięczenia wyłącznie psu. „Prince", omijając wczorajsze przeszkody, wolno, z nosem przy ziemi, wyprowadził nas z gąszczu.

Okazało się, że, wracając wczoraj w ciemnościach, poszukiwaną ścieżkę poprostu przekroczyliśmy, nie zwróciwszy na nią uwagi. Noc spędziliśmy po przeciwnej jej stronie, w odległości najwyżej stu kroków od dróżyny, prowadzącej do Vernon.

Brzydko, z wielkim zawijasem i wcale nie po dżentelmeńsku zaklął Smith. Nocna wilgoć i poranna mgła w znacznym stopniu rozcieńczyły zwykłą flegmę i równowagę duchową Anglika. Trochę też widocznie wstydził się mnie. Jakto, Cecil Cougar Smith, osoba najlepiej znająca wystpę Vancouzer, on, Cecil, który tropił niedźwiedzie na zboczach gór alaskańskich, Mc. Kinley, który wodził ekspedycje po Cassyar, on, którego zamawiali na lata zgóry, jako przewodnika, zachował się tutaj, jak „green horn", zbłądziwszy prawie że na własnem podwórku.

Przekleństwo!... Zkolei ja pocieszam Smitha i tłomaczę mu, że wszystko jest w najlepszym porządku, a jedna nocka mniej lub więcej wygodnie spędzona, wobec odniesionego skucesu, nic nie stanowi. Tak ciemną nocą można łatwo przeoczyć ścieżynkę, której istnienia nawet za dnia domyśleć się raczej trzeba. Słowem — Wersal. Trudno jednak staremu wyperswadować i biada dalej:

— Przypomnij pan sobie, jak wczoraj, kiedyśmy wracali, Prince długo musiał być wołany i namawiany przeze mnie, aby zejść ze ścieżki i pójść za nami. Przypuszczałem wówczas, że pies jest na tropie samca i wziąłem go nawet na smycz. Yes, Sir, — pies był na ścieżce i chciał nas po niej skierować w dół, ku jezioru.

Wprost z flaszy łyk „white horse" (szkockiej whisky) ze znalezionego pod zwałem drzewnym plecaka, przyjemnem i orzeźwiającem ciepłem rozlewając się po gnatach, uspokoił nieco humory Cecila. Musiałem z nim prawdziwą walkę stoczyć, zanim udało mi się przekonać go, że to mnie, jako młodszemu, przypada „zaszczyt" zniesienia w dół do łodzi około stupięćdziesięcio funtowego ciężaru, jaki przedstawiało upolowane zwierzę.

Puma ta okazała się rzeczywiście jałową samicą, a wygląd jej części rodnych nie potwierdził przypuszczeń Cecila.

W namiocie, kiedy jeszcze doskonale wypoczywałem, zbudziło mnie warkotliwe bulgotanie i smakowity zapach gotującej się zupy. Anglik dotrzymał swego przyrzeczenia i kiedy po południu wychyliłem głowę z poza zasłon namiotu, mieszał ostruganym jodłowym patykiem przygotowaną już potrawę.

Okazało się, że, zachwalając ją, Smith zupełnie nie przesadzał, raczej jej może nie docenił, ponieważ rozgotowane kręgi ogona, umiejętnie przyrządzone przez

tego gastronoma, wraz z płatami w maśle usmażonego mięsa, przedziwne były w swoim smaku. I w kilka tygodni później, kiedy żona Smitha przygotowała identyczną zupę z przywiezionego samca, i kiedy w warunkach innych, niż obecne, zakosztowałem po raz drugi tej potrawy, smak jej okazał się nie mniej znakomity.

Zaraz po obiedzie Smith zostawił mnie w lesie, a sam z „Princem" udał się ku samochodowi, aby przywieźć drugiego psa do pomocy. Jest bowiem rzeczą stwierdzoną, że pies w pojedynkę, abstrahując już od tego, że mniej ochoczo dodejmuje trop pumy, w dodatku podlega daleko większemu niebezpieczeństwu.

Musiał też Smith wrócić do domu, aby nieco odświeżyć nasze zapasy żywności, a przedewszystkiem ze względu na możliwość telefonicznych meldunków z głębi wyspy o pojawieniu się świeżych śladów pumy.



Po jeziorze pływają „branty".

Wieczór ten i noc spędziłem samotnie w namiocie.

O zmierzchu nad jeziorem krążyły kluczami łabędzie, gęsi i niezliczone odmiany dzikich kaczek. Nie mając ze sobą *decoys*, manekinów tekturowych, o których wspominałem w poprzednich opisach, musiałem się zadowolić przypadkowemi strzałami do błotnego ptactwa, ale i tego w zupełności starczyło, aby dostatecznie urozmaicić naszą kuchnię smakowitemi krzyżówkami i niemniej doskonałemi, w obfitości o tej porze występującemi *brants*.

Nazajutrz pod wieczór, kiedy, siedząc u brzegu otwartego jeziora, wchłaniałem ciszę i smętek otaczającego mnie piękna, w oddali, na lustrzanej powierzchni odkrytej wody zobaczyłem, jak Smith, mając na przedzie swego „canoe" dwa nowe psy, powracał, rytmicznie, bez wysiłku pracując wiosłem.

Przywiózł rodzonego brata „Princa", wabiącego się „Jerry" i płową sukę potężnej budowy „Judhy". Meldunków w domu nie znalazł, mimo to bardzo mnie prosi, aby jeszcze ten tydzień pozostać z nim. Jest pewien, że tym razem dojdę do strzału w dzień, a możliwe, że przy tej okazji uda mi się sfotografować pumę, osaczoną na drzewie. Ma on u siebie w domu cały stos francuskich, angielskich, szwedzkich, austrjackich, rosyjskich, a nawet czeskich fotografij i wycinków z pism łowieckich, ofiarowanych mu przez myśliwych, z którymi w swoim czasie polował, i chciałby dopełnić swojej kolekcji polskim egzemplarzem.

I znów rozpoczęła się nasza wędrówka. Wróciliśmy wgłąb puszczy i, przedzierając się gąszczami, przewertowaliśmy możliwie dokładnie zakamarki leśne tej okolicy. Tym razem „Jerry" na długiej lince postępował krok w krok za Smithem, z podziwu godną zręcznością chodząc po oślizgłych pniach drzewnych tam, gdzie nam tylko kolce na butach i długie kije w ręku umożliwiały utrzymanie równowagi. Psy, postukując pazurami łap, przechodziły z całą swobodą po mokrych kłodach.

Zbliżało się święto Nowego Roku. Wiedziałem o tem, że Smith chce ubić jelenia na stół świąteczny. Mając jednak psy ze sobą i dbając o to, aby przy nich nie polować na inny gatunek zwierzyny, niejednokrotnie spotykane w bardzo dogodnych warunkach jelenie mijaliśmy z dość sztuczną obojętnością. Podziwiałem hart i silną wolę Cecila.

— Ja poluję z panem na pumy i nie wolno mi się kusić o nic innego — niezmiennie odpowiadał, kiedy go prosiłem, aby strzelił sam, lub też by wziął obydwa psy na smycze i pozwolił mnie zapolować na jelenia i zaofiarować go sobie.

—Na to znajdziemy zawsze czas, teraz pojedziemy w inne okolice. Musi pan zdobyć drugą pumę. Chciałbym również, aby pan zwiedził po drodze jedną *canerees* (fabryka konserw rybnych). Myślę, że to pana bardzo zainteresuje.

Fabryki tego rodzaju budowane są na wybrzeżach większych rzek i czynne są tylko przez kilka miesięcy w ciągu roku, w okresach połowu. Połów łososi i pstrągów w olbrzymich ilościach odbywa się w pierwszych dniach maja. Arterja wodna, przeciw prądowi której płyną łososie na tarło, bywa przegradzana od brzegu do brzegu całym szeregiem siatek o otworach rozmaitej wielkości. Najmniejszy jednak z otworów nie może przekraczać prawem określonego minimum. Siatki ustawia się kolejno, jedna za drugą, w ten sposób, że te, które posiadają większe otwory, są pierwsze, za niemi zaś następują dalsze, o coraz mniejszych wymiarach ok. W czasie, gdy łosoś i pstrąg prą w górę rzeki, w utworzonych przez siatki zagrodach zatrzymują się te tylko, które nie mogły się przez otwory przedostać. Przez stopniowanie wielkości otworów ryby zostają odrazu przy ułowie posegregowane w poszczególnych zagrodach, utworzonych przez siatki.

Wybierane mechanicznie zapomocą łańcuchowego czerpaka, ryby przenosi się do olbrzymiej kadzi betonowej, z której znowu inny przyrząd zabiera i podsuwa je pojedyńczo pod mechaniczny nóż, który odcina rybom głowy. Reszta tułowia wędruje dalej, do pionowo ustawionej maszyny, zwanej *iron-chink*. Maszyna ta ma za zadanie płatać ryby i szczotkami usuwać wnętrzności do czysta. Tak oprawione ryby czerpak przenosi na ustawione szerokie ławy, poczem zostaja już ręcznie pozbawione szkieletów i ości. Mięso w ten sposób spreparowane zostaje wrzucone do kadzi, skąd pewien typ bardzo pomysłowych tłoków układa je ściśle płatami w blaszankach. Napełnione puszki, hermetycznie zamknięte, umieszcza się w kotłach, gdzie podlegają 15 — 20 minutowemu gotowaniu w parze pod dużem ciśnieniem.

Jedną z takich fabryk zwiedziłem. Była ona w tym okresie nieczynna, ale wyobrażam sobie, jak straszliwy musi być zapach miljonów oprawianych ryb w sezonie, jeżeli i obecnie odór oglądanej „canerees" przyprawiał o zawrót głowy.

Szczęśliwie tak się złożyło, że po drodze, kiedy wstapiliśmy do mijanej przy Gold River strażnicy, Smith uzyskał połączenie telefoniczne z domem swoim w Comox. Dowiedział się o meldunku jednego z farmerów z Campbell Lake, który doniósł, że w bezpośredniej bliskości jego zagrody tego właśnie ranka widział świeży trop pumy.

Obowiązkiem Smitha było natychmiast jechać do wskazanej miejscowości. Wieczorem tego dnia byliśmy już tam, a nazajutrz, ledwie słońce przedarło się przez opary i poranną mgłę, ruszyliśmy z psami ku miejscu, gdzie na gruncie wyraźnie odciśnięte były charakterystyczne ślady łap tego drapieżcy.

Tracks (tropy), do których nas zaprowadził farmer, są o tyle łatwiejsze do odróżnienia od dziesiątków innych, że palec „serdeczny" łapy pumy jest o wiele dłuższy od średniego. Nie można jednak było odrazu psów puścić tropem, ponieważ, mimo że ślady były stosunkowo świeże, zwierz, w ciągu całego dnia i nocy, poprzedzającej nasz przyjazd, mógł się już oddalić o dziesiątki mil, ale mógł się również znajdować w bezpośredniej bliskości. Dla sprawdzenia została na próbę puszczona tropem „Judhy". Pognała bez wielkiego entuzjazmu, aby po upływie niespełna godziny wrócić do towarzysza swego „Jerry". Nasuwały się dwa przypuszczenia. Albo suce zabrakło serca samotnie podjąć trop, albo też w okolicy Campbell River i Campbell Lake o kamienistym gruncie, usianym skałami, tworzącemi bezładne grupy, ogromnie przypominającemi „kornuty" Beskidu Niskiego, ślad w ciągu doby zwietrzał.

— O, Sir! Moja „Judhy" wie co robi. Darmo energji nie traci. Za jeleniem albo wilkiem nie pójdzie nigdy. „Matrona" ta doskonale pojmuje swoje zadanie i prawdziwie oceni ją pan dopiero przy pracy. „Asystent" — Jerry potrzebny jest raczej, aby głosem oznajmiał miejsce swego przebywania. I o ile psy moje przeciętnie asekurowane są po pięćset dolarów, za „Judhy" płaci Game Comission czterokrotną stawkę. Suki tej żaden „cougar" łatwo nie weźmie, bo zawsze zdaje ona sobie dobrze sprawę z grożącego jej niebezpieczeństwa. W zeszłym roku miałem wypadek, że postrzelony przeze mnie samiec, zwaliwszy się z drzewa, miał jeszcze tyle siły, że mógł się rzucić na napastujące go psy. Co się jednak okazało? Po wysłaniu kuli, „Judhy" nietylko nie rzuciła się na spadające z drzewa zwierzę, ale jeszcze zębami odpędziła usiłującego zaatakować pumę swego towarzysza, wykazując tem niespotykaną orjentację i instynkt samozachowawczy. A przecież wie pan już mniej więcej, w jakiem tempie to się odbywa. Dopiero kiedy błyskawicznym strzałem poprawiony przeze mnie zwierz, usiłujący się przemknąć gąszczem, padł po raz drugi, aby już więcej nie powstać, suka dosiadła go z całą zajadłością.

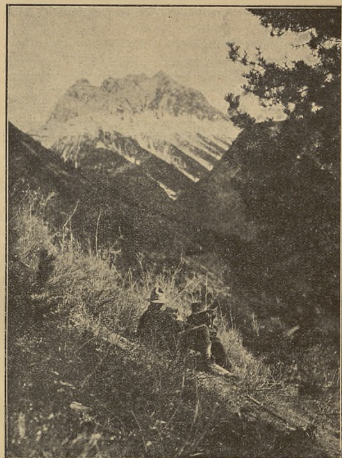
— Sądząc ze śladów, musi to być duża bestja. A ponieważ znam się cokolwiek na jej zwyczajach, wiem, że pumy, kiedy raz odwiedzą wybraną okolicę, przebywają w niej po kilka, a nawet kilkanaście dni. Widział pan te owce, które hoduje farmer, mister Pidcock? Smaczne są. Ten „male" wie o tem niegorzej od nas. *I bet* you (założę się z panem), że godnego będziemy mieli przeciwnika. Ale weźmiemy go. Przewertujemy jeszcze raz okolice i postaramy się odczytać hieroglify jego tronów. Wielką niespodziankę zrobił mi dziesięć lat temu mój dawny przełożony, stary przyjaciel, mister A. B. Williams, kiedy nagle zażądał, abym natychmiast z psami przyjechał do miasta Vancouver. Okazało się, że do czterysta hektarowego Stanley Parku zawitała puma i w ciągu narodniowej gospodarki formalnie zdziesiątkowała znajdującą się tam w ogrodzeniach płową zwierzynę, mimo, że w ciągu tego czasu była w dzień i w noc prześladowana przez tłumy miejskich myśliwych. Ja, naturalnie dzięki psom, w krótkim czasie upolowałem ją. Wypadek ten podaję jako przykład, że zwierz ten, jeśli sobie jakieś miejsce upodoba, nieprędko i niechętnie je opuszcza. Była to jedna z największych samic, jakie kiedykolwiek w życiu strzeliłem.

Gawęda ta miała miejsce, kiedy odpoczywaliśmy po uciążliwem całodziennem łażeniu, podczas którego Cecil, od czasu do czasu nachylając się ku ziemi, skrupulatnie i z dużą cierpliwością badał i zastanawiał się nad najdrobniejszemi nawet śladami.

Rankiem następnego dnia zostaliśmy zaalarmowani nową wieścią, którą przywiózł jeden z sąsiadów farmera. Nocy ubiegłej puma odwiedziła jego zagrodę, tym razem mniej platonicznie. Ofiarą jej padło kilka sztuk owiec.

— No, dzisiaj będzie nasza! — orzekł pogromca pum.

Jedziemy do oddalonego o dziesięć mil ranchu-farmy. W zagrodzie, jak bezładne łachmany, leżą zabite owce. Jedną z nich, rozszarpaną i w połowie pożartą, znajdujemy o kilkaset kroków dalej w lesie.



Podczas odpoczynku wśród uciążliwej wędrówki.

Psy dygocą. „Judhy" wierci się podniecona, wchłaniając nietylko wilgotnemi nozdrzami, ale całą swoją istotą, wszystkiemi porami swego kosmatego łba i ciała, nienawistny odwiatr. Płowy, podkasany, ułożony na mocnych, szeroko rozstawionych łapach korpus jej tężeje, nabiera mocy. Wprost widać, jak zwały sprężonych mięśni przewalają się pod skórą. „Jerry", niecierpliwy, skomląc, szarpie smycz, na której jest przywiązany. Aby tylko na trop, aby tylko śladem!... Aby prędzej, aby szybciej podniecić się i rozradować psie swoje serce zapachem atawistycznego wroga — kocura. Puszczony, przez mgnienie oka syci mózg śladem pumy i jak wiatr szybki, wraz z „Judhy" przewodniczką, bierze kierunek, a po chwili znika nam z oczu.

Kiedy zziajany, na trzęsących się z wysiłku nogach, ostatkiem tchu, pomny tragedji „Morry", dobiegam psów, oczom moim przedstawia się widok, w grozie swojej przejmująco piękny.

Wspaniały zwierz, marszcząc górną wargę, błyska groźnie bielą kłów, bije się po bokach długim ogonem, całą wściekłość koncentrując w bronzowo-zielonych, dużych, jarzących się ślepiach.

I pomyśleć tylko — takie cudo, takie uosobienie siły, sprężystości i energji, ideał krasy zwierzęcej i potęgi muskułów — przecież najlżejszem machnięciem przedniej łapy, o ostrych, zagiętych, żółtawych pazurach, zwierz ten zmiótłby mnie, nie tknąwszy nawet kłem, a jednak zmarszczoną, wpółotwartą paszczą tylko grozi, wygrywając swój ostatni atut.

Psy, jak oszalałe, z głośnem, ochrypłem ujadaniem, które przechodzi chwilami w skowyt, skaczą u stóp drzewa. Puma, wczepiwszy tylne łapy w gałąź, pochy-

lona ku dołowi, przedniemi łapami oparta jest o konar.

Tuż za mną biegnący Smith, w chwili, kiedy składam się do zwierza, widząc z daleka wielkość samca, krótkiem: *back!* (nazad) odwołuje psy i, trzymając je mocno za obroże, rzuca komendę: *shoot him!* (strzel go).

Trafiona kulą moją w górną część łba, zwala się puma w dół, jak tłomok, do stóp bawełniaka *(Cotton wood)*.

— *Well done Sir!*...

Na podłożu żółtych, zważonych już liści i bronzowego igliwia, zlewając się kolorem z tłem, kocim sposobem zakreśla zwierz ostatni ruch długim ogonem.

Strzelałem do niego z odległości może dziesięciu yardów. Hell! Przecież to mogło być jedno z najpiękniejszych zdjęć — przychodzi mi dopiero teraz na myśl. — Cecil, czemu mi pan nie przypomniał o tem?

— Yes Sir! Ma pan rację. Ale widzi pan ten ogrom przed sobą? Ja już przedtem widziałem, z kim pan będzie miał do czynienia. Drżałem o psy i musiałem wybierać pomiędzy dobrem zdjęciem, a niepewnością o ich los. Postanowiłem przytrzymać je, obawiając się, że w podnieceniu może pan zwierza nie trafić śmiertelnie. Zresztą my go już jako trofeum sfotografujemy w kilkunastu pozycjach — uśmiecha się stary.

— Widział pan, Mat? Przywołane psy natychmiast przyszły do mnie z pod drzewa. Zważywszy, jak dalece pan, a nawet ja, byliśmy podnieceni widokiem osaczonego zwierza, łatwo zrozumieć, co przeżywały pieski. A jednatk na pierwsze moje wezwanie, natychmiast dały się ująć. Zgodzi się pan, że to wcale dobrze świadczy o ich karności i tresurze, O „Judhy", Judhy, *sweet heat!*

Spójrz pan na to leżące zwierzę. Teraz nie trudno zrozumieć, dlaczego nazywamy je „mountain lion" Czyż nie jest ono podobne do lwicy? Piękny okaz samca! A jeżeli pan wie o tem, jak nieproporcjonalnie wielka jest przewaga ilości samic, wobec męskich przedstawicieli pumiego rodu, oceni pan dostatecznie wartość tej zdobyczy. Takiego stosunku nie spotyka się u żadnego z mieszkańców naszych puszcz i lasów. Nie przesadzę, mówiąc, że na dziesięć strzelonych pum zaledwie dwie do trzech stanowią samce. A wśród kociąt, które od czasu do czasu udaje mi się podebrać, stosunek ten się potwierdza. Trzeba panu wiedzieć, że począwszy od Vancouver, Seattle — we wszystkich prawie zoologach po Los Angelos, a może i dalej, pumy tam znajdujące się pochodzą przeważnie z mego ułowu, toteż pewne doświadczenie w tej dziedzinie mam — chwali się Smith.

Przez chwilę ściągłą jego twarz okrasił jakby cień uśmiechu. O, bezsprzecznie — Smith się cieszy, jest zadowolony z pięknego „male" (samca), którym uraczył gościa panów z „Game Commission".

Większą jednak satysfakcję sprawia mu fakt, że błysnął przede mną niesłychanem opanowaniem swoich psów; że nie zbliżając się nawet, jednym krótkim rozkazem oderwał od pnia Judhy i Jerry. To go raduje i napawa dumą. Do reszty, do tych widoków i dramatów, które mną wstrząsnęły, Smith jest nawykły. Niedarmo przydomek jego brzmi „Cougar Smith".

Doprawdy — w ciągu tych kilku tygodni, podczas których obserwowałem go i widziałem jego lekkie ruchy i zwinność, z jaką się poruszał, niejednokrotnie gibkością przypominał mi tego kocura.

Wszystko, co posiada — pięknie zagospodarowaną farmę, „bungalow", kilkadziesiąt akrów bajecznie żyznej ziemi, pozycję wśród otoczenia — zawdzięcza pumie. Ale bez psów, z których tresury słynie, nie mógłby nawet pomyśleć o tych rezultatach.

Właściwie możnaby zaryzykować twierdzenie, że to raczej człowiek pomaga psu, niż odwrotnie. Z chwilą bowiem, kiedy puma, susem na drzewo chroni się przed psią zaciekłością, strzał, który koronuje wysiłki myśliwego, jest już błahostką i strącenie pumy z drzewa nie przedstawia najmniejszej trudności, nawet dla strzelca więcej niż miernego.

(D. c. n.) M. G.

O ODSTRZALE HODOWLANYM ŁAŃ.

Odstrzał selekcyjny łań — oto słowa, na dźwięk których każdy myśliwy choćby nieznacznie się skrzywi. Wierzę, że strzelać do łań i cieląt nie należy ani do większych emocyj myśliwskich, ani też do przyjemności. A jednak przeprowadzenie odstrzału selekcyjnego jest koniecznością hodowlaną, tem *conditio sine qua non*, bez którego nie można sobie wyobrazić poprawienia jakości zwierzostanu jeleni w łowisku.

Za koniecznością tego odstrzału przemawiają nietylko względy natury hodowlanej, ale również konieczność zredukowania ilościowego stanu jeleni w niektórych łowiskach. Przez zbytnią i częściowo niecelową ochronę łań oraz cieląt w ostatniem dziesięcioleciu powiększył się stan zwierzyny płowej bardzo znacznie, przekraczając w wielu wypadkach wytrzymałość niektórych łowisk. Ponadto zwiększenie się ilościowe jeleni odbiło się również ujemnie na jakości wieńców.

Nasuwa się teraz pytanie, jakie sztuki należą do t. zw. selekcyjnych, odstrzał których konieczny jest dla dobra łowiska. W pierwszym rzędzie przedewszystkiem odstrzeliwać trzeba sztuki widocznie chore, nieprzefarbowane i t. p., a potem dopiero cielęta. Z cieląt bliźniaczych oczywiście słabszą sztukę, starając się, w wypadku gdyby bliźniaczki były równej konstytucji fizycznej, odstrzelić z nich w miarę możności łankę, a nie byczka. Odstrzeliwanie cieląt ma tę dobrą stronę, że w wypadku pomyłki ze strony myśliwego co do odstrzału cieląt (np. zdrowego byczka, słabej łanki) marnuje się jedynie 8-mio miesięczny trud hodowlany myśliwego; w wypadku natomiast odstrzelenia sztuki t. zw. „jałowej" często zdarza się, że miast takiej sztuki, odstrzeliwuje się łanię, nadającą się do dalszej hodowli. Strata niepowetowana! Wogóle chciałbym odradzić zbyt pochopne przeprowadzanie odstrzału t. zw. sztuk jałowych, gdyż w tym kierunku grzeszymy najwięcej przez nieświadomość. Trzeba oka i zmysłu orjentacyjnego, oraz wyczucia łowieckiego wytrawnego myśliwego, znającego wybornie łowisko i swój zwierzostan, by uniknąć błędów i strzelać naprawdę tylko sztuki jałowe; a jednak i tu błędy się trafiają. (O łaniach jałowych patrz niżej).

Co do pory selekcyjnego odstrzału łań, to dla prawidłowego myśliwego ograniczeń wogóle nie powinno być. Od 1 stycznia do 31 grudnia, t. j. zawsze, kiedy tylko napotka sztukę, odstrzał której jest konieczny, winno być wolno strzelić do niej. Tak byłoby oczywiście, gdyby zapanowały warunki idealne; do takich jednak nam jeszcze daleko! Kiedyż zatem najlepiej przeprowadzać odstrzał łań, czy wiosną lub latem, czy też jesienią i zimą? Są różne „pro i contra". Wiosną, a raczej latem, po ocieleniu się łań, naogół widać, które chodzą z cielątkiem, lub bez przychówku. Te ostatnie zatem należy odstrzeliwać. Jakże jednak łatwo i tu można się omylić. Łania, jako przezorna matka, nim wyjdzie na żer, na łączkę leśną lub pole, starannie bada przedtem teren, młodemu zaś każe „wa-

rować" na skraju lasu, a potem wychodzi najpierw sama. Dopiero przy nastaniu zupełnej ciemności przywołuje do siebie swe młode z bezpiecznego gąszczu. A jakżeż nieopatrznie w czerwcu, lipcu lub sierpniu ciągnie się za cyngiel do łani, samotnie wychodzącej z lasu. A potem ogromna konsternacja myśliwego i wielki żal: zabił karmiącą matkę! Lepiej zatem, mojem zdaniem, przeprowadzać odstrzał hodowlany począwszy od jesieni; skoro bowiem przez pomyłkę odstrzeli się łanię od młodego, to młode takie jest już tak daleko zaawansowane w rozwoju, że samo może sobie radzić bez matki i przetrzyma zimę.

Polowania jesienne względnie zimowe, t. zw. „druczki", lub ciche pędzenia, podczas których przeprowadza się odstrzał hodowlany, mają jednak tę ujemną stronę, że zbyt często pada ofiarą myśliwych (niedoświadczonych) licówka, czyli przewodnica stada.

Nie strzelajcie licówek — oto temat, na który przedewszystkiem mam zamiar pisać.

Chmary jeleni (łań, cieląt i słabych byków), które spotykamy zimą na cichych pędzeniach, w sporadycznej tylko ilości wypadków składają się z jednej rodziny. Można niemal twierdzić, że nigdy tak nie jest. Możliwe natomiast jest, że w jednej chmarze spotyka się prababkę, babkę, oraz matkę z przychówkiem; zimą jednakże chmara składa się z reguły z 12 — 15 sztuk. Chmary takie porównać można z zimowem stadem kuropatw, złączonem z kilku stad, w części wystrzelanych. Tak i tu chmarki jeleni złączyły się w chmarę — łanie z młodemi, jałówki oraz często cieleta, którym matki odstrzelono.

Każdą chmarę prowadzi t. zw. przodownica lub licówka (lico stada). Kolejność w pochodzie jest podziwu godna. Przodownica, za nią cielę tegoroczne, potem młódka, a wszystkie inne sztuki chmary postępują za niemi. Nigdy nie można zauważyć, by w chmarze, ostrzeliwanej i znajdującej się w pełnym pędzie ucieczki, sztuka jakaś uprzedziła w biegu licówkę, lub dalej uciekała, skoro przodownica się zatrzymała. Skoro podchodzi się chmarę i jelenie zoczą myśliwego, wówczas całe stado skupia się naokoło licówki i oczekuje co też ona zrobi. Dopiero kiedy rusza przodownica, postępuje za nią chmara w zwykłej kolejności. Jak dominujące jest stanowisko przodownicy, najlepiej zauważyć można wówczas, kiedy została ona zabita, a w pierwszym momencie konsternacji żadna inna sztuka nie przejęła roli licówki.

Która sztuka jest licówką? Każdy bliski jest myśli, że musi to być sztuka najstarsza, która nabrała w czasie długich lat pewnego doświadczenia w prowadzeniu chmary. Innemi słowami — sztuki jałowe t. j. takie, które z powodu podeszłego wieku stały się niepłodnemi. Tak jednakże nie jest. Obserwacje potwierdzają, że przodownica chmary to zawsze łania-matka, prowadząca swe cielę oraz młódkę z ubiegłego roku. Nawet w łowiskach, w których odstrzał łań ogranicza się jedynie do odstrzelania cieląt i młódek, przyczem naturalnie stosunkowo często bywa odstrzeliwane cielę licówki, nie spotyka się nigdy przodownicy bez cielątka. Z powyższego wnioskować można, że licówka po stracie swego młodego zostaje zastąpiona przez łanię, posiadającą cielę. A zatem kwalifikacją, potrzebną do zajmowania roli licówki, jest obowiązek prowadzenia cielęcia w danym czasie.

Jest to rzeczą zrozumiałą, zważywszy okoliczność, że miłość macierzyńska zawsze zmusza daną sztukę do większej uwagi i ostrożności. A zatem może zwierzyna w zasadzie każdej łani, prowadzącej cielę, zaufać prowadzenie chmary.

Widzimy dalej, że przodownica wyróżnia się od reszty łań silniejszą budową korpusu, z czego wnioskować należy, że poza koniecznością prowadzenia cielątka, miarodajny dla zajmowania stanowiska licówki jest również i wiek.

Należy przypuszczać, że jelenie posiadają tyle poczucia autorytetu, by wszystkie sztuki chmary podporządkowały się bez sprzeciwu najstarszej łani, ale tylko wówczas, o ile prowadzi cielę.

Chmara bez licówki nie istnieje, a skoro kiedyś nie odrazu znajdzie się sztuka w zastępstwie padłej przodownicy, to li tylko dlatego, że chmara chwilowo się rozsypała, a tem samem tylko na chwilę przestaje istnieć. Przypuszczam, że zdołałem udowodnić czytelnikom, że przodownica jest najlepszą sztuką w stadzie.

Jest to łania będąca w sile wieku, z dobremi zdolnościami orjentacyjnemi, innemi słowami — łania-matka, która nam najbardziej jest potrzebna dla podniesienia jakości stanu naszych jeleni (szczególnie nizinnych).



Portret jelenia. Fot. A. Progulski.

Po czem wogóle poznajemy sztukę nadającą się do hodowli, to jest taką, której selekcyjnie nie wolno odstrzelić? Przedewszystkiem po figurze. Często spotkać się można ze zdaniem, że sztuki stare i niezdatne do hodowli wyróżniają się tęższą od reszty sztuk budową. Twierdzenie takie jest sprzeczne z prawami przyrody; sztuki bowiem stare posiadają siłą rzeczy zużyte uzębienie, — a więc nie są w stanie, szczególnie podczas silnego mrozu, należycie rozdrabniać i przeżuwać przyjętej karmy, wobec czego chudną.

A zatem łojne szutki są osobnikami, nadającemi się do dalszej hodowli. Dalej poznaje się łanie zdatne do hodowli po ich potomstwie — cielątku. Sztuka silna zasadniczo posiada również silne potomstwo, które najprawdopodobniej odziedziczyło wszelkie zalety po matce. Trzecim znakiem rozpoznawczym, wzbraniającym strzał do danej sztuki, to stanowisko jej w chmarze.

Widzieliśmy, że licówka jest najlepszą sztuką w chmarze. Abstrahując zupełnie od tego, że nie postępujemy po myśliwsku, odstrzeliwując matkę od dziecka, to z drugiej strony postępujemy krótkowzrocznie dlatego właśnie, że zabijamy najbardziej nadającą się do hodowli sztukę chmary. Stanowisko przodownicy jest i tak już dostatecznie eksponowane, gdyż jest ona

zawsze pierwsza, która dostaje się w zasięg niebezpieczeństwa strzału. Ponadto licówka jest niestety niemalże zawsze jedyną sztuką, do której łatwo celować, gdyż zazwyczaj wysuwa się do połowy z gąszczu na linię, staje nieruchomo i długo wietrzy. Od zamiaru do czynu niedaleko i nim pochopny myśliwy tylko pomyśli, to już kula zwaliła przodownicę. A dalsze konsekwencje? Po pierwsze zmniejsza się stan doborowych łań, po wtóre wysuwają się na czoło chmary coraz to młodsze i mniej doświadczone sztuki, nie umiejące chmary prowadzić tak doskonale, jak właśnie sztuki starsze — doświadczone.



Z polowań Sportowego Towarzystwa Łowieckiego w Wilnie.
Fot. Inż. E. Woynicki.

A teraz jeszcze kilka uwag na temat t. zw. łań jałowych. Niestety, słyszy się tu i owdzie głosy, propagujące odstrzał przodownic, uzasadniając żądanie takie tem, że licówki, jako najstarsze sztuki chmary, i tak w najbliższym czasie staną się jałowemi (bezpłodnemi), nie nadającemi się tem samem do dalszej hodowli. Pragnę nadmienić, że sama nazwa „sztuka jałowa" jest raczej określeniem technicznem dla zoologów i znawców, nigdy natomiast dla naszego ogółu myśliwych, którzy, niestety, zbyt często źle interpretują pojęcie „jałowa". Faktycznie jałowe sztuki, t. j. osobniki takie, które już na zawsze pozbawione są możności rozrodczych, trafiają się rzadziej, niż naprawdę kapitalne jelenie-byki; bowiem eksponowane stanowisko przodownicy nie pozwala na to, by sztuka ta osiągnęła wiek, potrzebny do tego, by stać się jałową.

Błędne również jest twierdzenie propagatorów idei odstrzału przodownicy, jakoby licówki, jako takie, zbytnio absorbowały jelenie-byki podczas rykowiska. Należy przypisywać jeleniom nieco więcej gustu i nie podejrzewać ich o to, by specjalnie zajmowały się staremi „jałówkami", a raczej odwrotnie.

Wiadomo nam, że rykowisko rozpoczynają silne byki, ale nie oficjalnie przy chmarze, lecz w ten sposób, że kapitalny byk pocichutku, już na tydzień przed właściwem rykowiskiem, zaczyna gody i to zazwyczaj z pierwiastkami (a nie ze staremi!) Skoro jeden z młodych jeleni „emabluje" przodownicę, to uważać to należy raczej za fakt dodatni, a nie ujemny.

Kwintesecją moich twierdzeń jest zatem: nie strzelajcie przodownic ani ich potomstwa. Cielę przodownicy bowiem, jako cielę najlepszej sztuki chmary, będzie w przyszłości również dobrą sztuką hodowlaną.

Zapyta teraz każdy — co właściwie mam strzelać?!

Przodownic strzelać mi nie wolno, jałówek również nie, gdyż się na nich nie znam, sztuk prowadzących cielęta także nie, cielę przodownicy — wzbronione. Co pozostaje zatem jeszcze do odstrzału?

Wspomniałem o tem już na wstępie mego artykułu. Młódki i słabsze cielęta. Oczywiście zrodzić się może obawa, by omyłkowo miast młódki nie strzelić słabej łani, lub silnego cielęcia. Omyłek w pierwszym wypadku nie należy zbytnio żałować, a stratę, powstałą przez odstrzał mocnego, zdrowego cielęcia, łatwo wyrównać w ciągu jednego roku.

Hodować znaczy tyle, ile odmawiać sobie (oczywiście do czasu dojrzenia plonów). Kto posiada łowisko z jeleniami, temu naprawdę nie powinno zależeć na kilkunastu kilogramach dziczyzny, a zatem winien strzelać tylko sztuki słabe.

Jeden wyjątek zasługuje na uwzględnienie. Skoro w łowisku tworzy się stosunek płci bardzo niekorzystny dla byków (np. 1:8 — 9 — 10...) i trzeba z konieczności stosować środek radykalny dla doprowadzenia do równowagi płci, natenczas odstrzał redukcyjny należy przeprowadzić nieco inaczej, niż podałem wyżej, i to do czasu, dopóki nie powstanie prawidłowy stosunek płci, a z tem wytrzymałość łowiska zostanie osiągnięta nanowo.

Ale i w czasie silniej przeprowadzonego odstrzału łań i cieląt apeluję do etyki i sumienia myśliwych z prośbą: nie strzelajcie przodownic!

DR. INŻ. LEON OSSOWSKI

CZY TU NAPRAWDĘ O TO WŁAŚNIE CHODZI?

W Nr. 34 „Łowca Polskiego" 1936 r. ukazało się sprawozdanie z odbytego w Komierowie VII pokazu i konkursu wyżłów Pomorskiego Tow. Łowieckiego.

Jest to konkurs, odbywany w Wielkopolsce i na Pomorzu na wzór niemieckich prób dla psów użytkowych, w których na pierwszy plan wysuwają się zalety psa, nabyte drogą tresury, zalety — osiągnięte często kosztem rozwoju tych właściwości, które czynią grupę ras, obdarzonych zdolnością stójki, tak cenną w łowach na drobną zwierzynę.

Poprzedzający próby użytkowości pokaz tym razem nie był, jak to zwykle czytamy w sprawozdaniach o odnośnych próbach, zorganizowany „celem przeprowadzenia selekcji hodowlanej".

I słusznie. Pokaz czy wystawa jest poto, by wycenić typ przedstawionych okazów i stwierdzić, w jakim stopniu pokrywają się one z idealnym wzorcem (standartem) danej rasy. Sam jednak wygląd zewnętrzny nie może być podstawą w selekcji hodowlanej rasy użytkowej. Tu muszą decydować wrodzone walory: węch, pasja łowiecka, stójka etc., walory łatwiej dające się stwierdzić podczas prób wyżłów młodych na wiosnę, niż w czasie popisów gotowych wyżłów z „wszechstronną" tresurą.

Dobrze zatem stało się, że w sprawozdaniu z zawodów komierowskich nie określono pokazu pod kątem widzenia selekcji zarodowej. Co natomiast uderza mnie, to podkreślenie przez sprawozdawcę, p. dr. inż. L. Ossowskiego, dobrej pracy psów „za farbą na otoku" i wysunięcie tego działu pracy na czoło zadań wyżła „wszechstronnego", oraz postulat, by nowela ustawy łowieckiej przewidywała, aby łowisko, posiadające jelenie, miało stale do dyspozycji tropowca, lub psa „pracującego na śladzie".

O ile na pierwszą ewentualność — posiadanie tropowca, czy raczej posokowca — można zgodzić się bez zastrzeżeń, o tyle trzeba mieć obawy co do praktycznej wartości owego psa „pracującego na śladzie", a zatem „dowodnego wyżła". Chodzi tu o duże rzeczy. Z jednej strony nie można zgodzić się

na to, by wynik pracy na świeżym sztucznym tropie, na otoku, miał istotnie świadczyć o zdolności psa wypracowania rannego jelenia, z drugiej jednak strony okazuje się, że pies z zupełnie słabym wiatrem może na konkursach „wszechstronnych psów" otrzymać stosunkowo wysoką lokatę i sprostać wymaganiom, stawianym pod względem zdolności pracy za farbą.

Jako przykład, wzięty z omawianych konkursów, niech służy suka „Tessa z Łowieckiego Dworu", odznaczona dyplomem na trzecią nagrodę i nagrodą pieniężną. Suka ta zyskuje ocenę „bardzo dobrze" w pracy za farbą, wiatr jej jednak oceniono ledwo dostatecznym stopniem. Trzeba więc przypuszczać, że suka ta w codziennej pracy łowieckiej chyba wielkiemi walorami nie może się odznaczać, skoro najważniejszy jej organ rozwinięty jest w tak słabym stopniu.

Czy nie lepszy jest pod tym względem pies „Neron z Karczewa" z cenzurą niedostateczną za występ w roli posokowca, ale z wiatrem dobrym, albo suka „Kara z Sosnowego Boru", pobita przez „Tessę" na punkty, ale z „bardzo dobrym" wiatrem.

Dalej — czyżby praca za farbą wymagała tak słabego nosa, by pies z wiatrem „dostatecznym" mógł w tym dziale otrzymać wysoką, bo „bardzo dobrą" cenzurę, właściwie z maksymalną ilością punktów?

Coś tu na prosty rozum nie zgadza się. Ale sedno w tem, że za sztucznym tropem krótkim, bo 500 metrowym, świeżym, bo zaledwie dwugodzinnym, potrafi przy pewnej wprawie pójść każdy kundel i każdy też kundel, z małemi wyjątkami, ma tyle wiatru, by temu zadaniu sprostać.

Wyczyn taki nie daje jednak najmniejszych kwalifikacji do oceny psa, jako posokowca, nawet wtedy, gdyby chodziło tylko o rogacza, nie mówiąc już o jeleniu.

Sprawę tę bardzo trafnie ujął Fr. Mueller (Zum Problem d. Schweisshund Abrichtung Zt. f. Hundeforschung I. Bd. 4H. Berlin 1931, str. 80 i nast.). Autor ten mówi wyraźnie: „Sztuczna 500 metrowa powłoka, przy której założeniu zajętych jest dwóch ludzi, krótki wiek i duża ilość użytej farby powodują tak silną woń tej powłoki, że zbadanie węchu psa, jakoteż szkolenie go do rzeczywistej pracy, w tych warunkach jest zupełnie niemożliwe".

W dalszym ciągu stwierdza, że odpowiednio szkolone posokowce bez żadnych trudności wypracowują sztuczny trop, mający 50 godzin, sporządzony ze starej, kilkodniowej farby, do połowy rozcieńczonej wodą.

Różnice te polegają: „na odrębnem szkoleniu wyżła dowodnego i posokowca, w pierwszym zaś rzędzie spowodowane są wrodzonemi zdolnościami posokowców, osiągniętemi przez wiekowy dobór hodowlany".

Zdanie to doskonałego znawcy posokowców i twórcy nowej metody szkolenia tych psów zasługuje na pełne uwzględnienie tak w interesie prawidłowego łowiectwa, jak i hodowli wyżłów kontynentalnych.

W rewirach jelenich powinien być nie pies, chodzący za farbą, ale rasowy i odpowiednio szkolony posokowiec. To, że posokowiec ten dziś jest u nas tak mało rozpowszechniony, nad czem słusznie na łamach „Dodatku hodowlanego I. K. C." ubolewa p. Dr. Ossowski, jest nie dlatego, że Niemcy robią trudności z wypuszczaniem materjału zarodowego, ale że nasi myśliwi, zasugerowani ideą „psa wszechstronnego", ulegają niewątpliwie błędnemu wpływowi Niemców i uprawiają metodę hodowli*), która sprowadza się w rezultacie do zupełnie beznadziejnej, a w Niemczech już niemal wiek cały trwającej hodowlanej fuszerki.

Mojem zdaniem, chodzi zatem o to, by obfitujące w grubego zwierza łowiska miały pełnowartościowego posokowca, który, utrzymywany w ciągłej gotowości do pracy, mógłby w trudnych nawet warunkach dotrzeć do zranionej zwierzyny i w ten sposób realnie przyczynić się do skrócenia jej cierpień.



„Trop" po pracy.

Chodzi zatem także i o to, by istniały próby i konkursy dla tych tylko psów — a nie dla wyżłów — oceniające ich zdolności w warunkach jak najbardziej zbliżonych do warunków naturalnego, krwawego tropu.

Dalej chodzi o to, by hodowla wyżłów ras kontynentalnych rozwijała się w kraju w dalszym ciągu, opierając się na wrodzonych ich zdolnościach łowieckich, selekcjonując na wiatr i stójkę, a uwzględniając te właściwości, które każą mówić o wszechstronności tego typu psa w ramach polowań na drobną zwierzynę, a więc uwzględniając ciętość, pracę wodną i dobre aportowanie.

By te cele osiągnąć, trzeba zwrócić uwagę z jednej strony na wrodzone walory psów, mniej wierzyć w wszechpotęgę tresury, zapoznać się z nowoczesnemi metodami doboru hodowlanego, a z drugiej — zapomnieć, o ile tylko można kompletnie, o książce i metodzie Oberlaendera.

PROF. DR. T. MARCHLEWSKI

*) Niestety, naogół nie uprawiają żadnej *(Przyp. red.)*.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO.

ZARZĄDZENIA REORGANIZACYJNE

Wydział Wykonawczy Związku rozesłał w dniu 7 b. m. następujący okólnik:

Do Zarządów Oddziałów Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

W dniu 5 grudnia 1936 r. statut Polskiego Związku Łowieckiego uzyskał zatwierdzenie Władz Państwowych. W łączności z tem wyłania się konieczność jak najrychlejszego wprowadzenia statutu w życie, aby wyzyskać w pełni te zmiany ustrojowe, które dadzą możność zorganizowania łowiectwa polskiego w sposób najbardziej celowy.

Według brzmienia § 70 statutu, do czasu ukonstytuowania się organów Związku — prawa i obowiązki przewidzianych statutem Wojewódzkich (Oddziałowych) Rad Łowieckich przysługują Zarządom dotychczasowych Oddziałów Związku. Naczelnem zadaniem Oddziałów Związku w zakresie realizacji postanowień statutu będzie werbowanie i przyjmowanie członków do Polskiego Związku Łowieckiego oraz organizowanie jego organów w terenie. Ponieważ Oddział Związku przyjmuje tylko członków zwyczajnych (§ 47), zaś członków nadzwyczajnych — do czasu utworzenia Powiatowych Rad Łowieckich — przyjmuje Łowczy Powiatowy, przeto w myśl § 70 Zarządy Oddziałów Związku winny niezwłocznie zamianować Łowczych Powiatowych z pośród dzisiejszych delegatów P. Z. S. Ł., kierując się ch kwalifikacjami łowieckiemi i obywatelskiemi. Pozwalamy sobie przepomnieć, że wykazy Delegatów Związku zamieszczone zostały w „Kalendarzu Myśliwskim" na rok 1937 w ścisłem porozumieniu z Oddziałami. Gdyby jednak Zarząd Oddziału był zdania, iż nie wszyscy delegaci posiadają odpowiednie kwalifikacje na Łowczych Powiatowych (brak czasu lub dostatecznego zainteresowania sprawami łowieckiemi) zechce w tym wypadku zamianować Łowczymi Powiatowymi innych kandydatów z pomiędzy znanych sobie myśliwych. Zarówno mianowani Łowczowie, jak i pozostali delegaci P. Z. S. Ł., stający się w myśl statutu Podłowczymi — obowiązani są złożyć deklaracje na członków zwyczajnych Polskiego Związku Łowieckiego i opłacić składkę za rok 1937 w kwocie zł. 10.

Blankiety legitymacyj dla Łowczych i Podłowczych Powiatowych na rok 1937 prześlemy Oddziałom po wydrukowaniu.

Spis mianowanych Łowczych Powiatowych zechce Zarząd Oddziału przedłożyć niezwłocznie Wydziałowi Wykonawczemu Związku.

Kandydaci na członków Polskiego Związku Łowieckiego powinni złożyć deklaracje — osobno dla członków zwyczajnych, osobno zaś dla członków nadzwyczajnych — i opłacić należną roczną składkę. W tym celu przesyłamy WPanom 250 egzemplarzy deklaracyj dla członków zwyczajnych i 500 egzemplarzy deklaracyj dla członków nadzwyczajnych. Te ostatnie zechce Zarząd Oddziału przesłać Łowczym Powiatowym. Deklaracje należycie wypełnione powinny być przechowywane w postaci kartotek. Blankiety legitymacyj dla przyjętych członków oraz odznaki członkowskie Polskiego Związku Łowieckiego będą przesłane Zarządowi Oddziału po ich przygotowaniu i w miarę wpływu odnośnych opłat oraz dostarczanych perjodycznie — z upływem każdego miesiąca — wykazów przyjętych członków.

Pod adresem WPanów wysyłamy jednocześnie 250 egzemplarzy statutu Polskiego Związku Łowieckiego, który należy doręczać kandydatom na członków zwyczajnych wraz z blankietem deklaracji.

Osoby, będące dziś członkami popierającymi P. Z. S. Ł., stają się członkami nadzwyczajnymi Polskiego Związku Łowieckiego. Aby zostać członkami zwyczajnymi, powinni oni złożyć stosowne deklaracje Zarządowi Oddziału Związku oraz uiścić składkę za rok 1937 w kwocie zł. 10.

Po zapisaniu możliwie największej liczby posiadających pełnię praw członków zwyczajnych — nie później jednak, niż w kwietniu r. 1937 — Zarząd Oddziału zwoła, w myśl §§ 50 i 51 statutu Walne Zgromadzenia Powiatowe w każdym powiecie, które pod przewodnictwem mianowanego Łowczego Powiatowego dokonają wyboru członków Powiatowych Rad Łowieckich oraz delegatów na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie (Oddziałowe).

W maju r. 1937 Zarząd Oddziału Związku zwoła Walne Zgromadzenie Wojewódzkie (Oddziałowe) w myśl §§ 38 i 39 statutu, które ukonstytuuje Wojewódzką (Oddziałową) Radę Łowiecką i Komisję Rewizyjną oraz wybierze delegatów na Walne Zgromadzenie Związku w liczbie, ustalonej przez Zarząd Związku na podstawie rzeczywistej liczby członków zwyczajnych, zamieszkałych na obszarze danego Oddziału.

Walne Zgromadzenie Związku, które przewidziane jest na czerwiec r. b., dokona wyboru władz naczelnych oraz Komisji Rewizyjnej Związku.

Ze względu na szczególną wagę zadania — zasadniczego przekształcenia dotychczasowej organizacji łowiectwa polskiego — Zarząd Związku żywi nadzieję, że Zarządy Oddziałów dołożą wszelkich starań do rozszerzenia zastępów członków Związku i do stworzenia sprawnie funkcjonujących organów lokalnych zrzeszonego łowiectwa.

Równocześnie zawiadamiamy, że w myśl § 70 statutu P. Prezes Generał Kazimierz Sosnkowski przelał swoje uprawnienia w zakresie przeprowadzenia reorganizacji Związku — na P. Wiceprezesa Inż. Leopolda Skulskiego.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 17 GRUDNIA R. 1936.

Obecni P. P.: Przewodniczący Wacław Szperling, Inż. Leopold Skulski, Jerzy Dylewski, Red. Walenty Garczyński, Dyr. Bohdan Gędziorowski, Prof. Józef Gieysztor, Kazimierz Kamieński, Inż. Herman Knothe, Józef Skrzypek, Dyr. Andrzej Śliwiński, Mec. Dr. Aleksander Tallen-Wilczewski, Dr. Ignacy Grymiński; protokół prowadził Jerzy Bokiewicz.

Porządek dzienny obejmował:

1. Odczytanie protokółów posiedzeń Wydziału Wykonawczego z dnia 30 listopada i z dnia 2 grudnia r. b.
2. Plan wprowadzenia w życie nowego statutu Związku.
3. Sprawy bieżące.
4. Wnioski.

Przed przystąpieniem do porządku dziennego, P. Szperling złożył oświadczenie, że wobec wyjazdu swego na urlop nie będzie mógł pełnić obowiązków Przewodniczącego Wydziału Wykonawczego, ponieważ zaś Zastępca Przewodniczącego P. Inż. Grabowski nie może z braku czasu objąć urzędowania, P. Szperling uprosił o zastępstwo P. Prof. Gieysztora, który wyraził swą zgodę.

Na prośbę zebranych P. Prof. Gieysztor objął przewodnictwo obrad już na dzisiejszem posiedzeniu.

Wydział Wykonawczy zatwierdził protokóły posiedzeń swych z dnia 30 listopada i z dnia 2 grudnia r. b.

Przystąpiono do omówienia planu wprowadzenia w życie nowe statutu Związku.

P. Red. Garczyński oświadczył, że pierwszą czynnością przygotowawczą winno być stworzenie aparatu, który mógłby przyjmować członków zwyczajnych i nadzwyczajnych do Związku. W tym celu należy polecić niezwłocznie Oddziałom Związku, aby w możliwie najkrótszym czasie przeprowadziły nominację Łowczych Powiatowych, tam zaś, gdzie Oddziałów Związku niema, mianować należy, na podstawie § 70 statutu, Prezesów Oddziałów Wojewódzkich względnie Komisaryczne Rady Wojewódzkie. Dla osiągnięcia tego trzeba, stosownie do okoliczności, porozumieć się z Wojewodami, bądź też z główniejszemi Stowarzyszeniami Związkowemi. Niezależnie od tego, trzeba niezwło-

czoie przygotować druki deklaracyj i legitymacyj oraz znaczki członkowskie i podjąć właściwą akcję propagandową zarówno na łamach „Łowca Polskiego", jak i prasy codziennej. Co się tyczy środków, potrzebnych do przeprowadzenia tej propagandy, to należy akcję tę rozpocząć przedewszystkiem tam, gdzie ma ona największe widoki powodzenia, a więc w pierwszym rzędzie od m. st. Warszawy.

Po dyskusji, w której głos zabierali wszyscy obecni, Wydział Wykonawczy postanowił rozesłać Oddziałom Związku odbitki nowego statutu i blankiety deklaracyj wraz z instrukcją o sposobie przeprowadzenia reorganizacji. Na Walne Zgromadzenia Wojewódzkie, zwolane przez Oddziały — władze Związku delegować będą swych przedstawicieli.

Na terenie tych województw, gdzie Oddziałów niema, postanowiono zwołać w miastach wojewódzkich, za pośrednictwem mężów zaufania, konferencje przy udziale kilku lub kilkunastu czynniejszych Delegatów Związku dla ustalenia składu Komisarycznych Rad Wojewódzkich, przyczem na konferencje te delegowani będą przedstawiciele centralnych władz Związku.

Wydział Wykonawczy upoważnił do omówienia spraw organizacyjnych z P. Wojewodą Lubelskim — P. Hr. Potockiego, zaś z P. Wojewodą Poleskim — P. Dylewskiego.

Przeprowadzenie reorganizacji Związku nowy statutu powierza Prezesowi Związku. Na podstawie § 70 statutu, P. Prezes Generał Sosnkowski uprawnienia swe w tym zakresie przelał na P. Wiceprezesa Inż. Skulskiego.

Do pomocy P. Wiceprezesowi Inż. Skulskiemu Wydział Wykonawczy powołał Komisję, w skład której weszli P. P.: Prof. Gieysztor, Red. Garczyński i Dyr. Śliwiński.

Wydział Wykonawczy postanowił przedłożyć Zarządowi Związku wniosek o przyjęcie Kółka Łowieckiego „Kaczor" w Warszawie w poczet Stowarzyszeń Związkowych.

Wydział Wykonawczy nadał Bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej — Franciszkowi Filipiakowi, strażnikowi Łowieckiemu majątku Trembki — za zasługi na polu hodowli i ochrony zwierzyny oraz za energiczną i skuteczną walkę z przestępstwami łowieckiemi.

Porozumienie z władzami celnemi w sprawie tryptyków na przewóz broni myśliwskiej przez granicę powierzono P. Dyr. Gędziorowskiemu.

ORZECZENIE SĄDU ŁOWIECKIEGO P. Z. S. Ł.

Sąd Łowiecki Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie, w składzie: przewodniczącego — inż. Leopolda Skulskiego oraz członków sądu — płk. dr Bolesława Szareckiego i płk. dr Tadeusza Kamińskiego, na rozprawie, odbytej dnia 16 grudnia 1936 roku, rozpatrzywszy skargę Dobiesława hr. Kwileckiego, wniesioną za pośrednictwem Towarzystwa Racjonalnego Myślistwa „Łowiec Wielkopolski" w Poznaniu przeciwko ppłk. rez. Konstantemu Chłapowskiemu, zawierającą zarzut niezgodnego z zezwoleniem Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu odstrzału jelenia selekcyjnego — wydał następujące o r z e c z e n i e:

Skargę powyższą oddalić, jako nieuzasadnioną, dla braku w działaniu ppłk. rez. Chłapowskiego jakichkolwiek znamion czynu sprzecznego z etyką łowiecką.

Warszawa, 16 grudnia 1936 r.

PRZEWODNICZĄCY:
(—) Inż. Leopold Skulski

CZŁONKOWIE SĄDU:
(—) Płk. Dr. Bolesław Szarecki,
(—) Płk. Dr. Tadeusz Kamiński.

30-LECIE ISTNIENIA WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH.

W dniu 24 stycznia 1937 r. obchodzi Wielkopolski Związek Myśliwych, pod protektoratem Prezesa Polskiego Związku Łowieckiego, Generała Broni Kazimierza Sosnkowskiego, swój jubileusz 30-letniego istnienia i działalności na polu rozwoju łowiectwa na naszych rubieżach zachodnich.

Porządek uroczystości tego dnia jest następujący:

I. O godz. 10-tej rano msza św. w kaplicy Najśw. Serca Jezusowego — Poznań, pl. Nowomiejski 1,

II. O godz. 11,30 akademja w Białej Sali Bazaru z następującym programem:
- a) fanfary: „Pobudka łowiecka" i „Marsz Spalski" — wykona baszkowska straż łowiecka
- b) powitanie przez Prezesa Wielkopolskiego Związku Myśliwych,
- c) pieśni łowieckie — odśpiewa chór „Hasło",
- d) recytal artysty Teatru Polskiego,
- e) referat o historji 30-lecia istnienia Wielkopolskiego Związku Myśliwych wygłosi inż. nadleśn. p. L. Martyniec,
- f) fanfary „Halali" — wykona baszkowska straż łowiecka. (Wstęp na akademję dla PP. Członków i Sympatyków wolny od wszelkich opłat).

III. O godz. 13-tej otwarcie wystawy łowieckiej w domu Poznańskiego Banku Ziemian — wejście z ul. Podgórnej 10,
- a) fanfary: „Powitanie" i „Polka myśliwska" — wykona baszkowska straż łowiecka,
- b) przemówienie Prezesa Wielkopolskiego Związku Myśliwych,
- c) oficjalne przecięcie wstęgi i otwarcie wystawy przez Prezesa Polskiego Związku Łowieckiego, Generała Broni Kazimierza Sosnkowskiego. Następnie zwiedzanie wystawy. (Wstęp na wystawę zł. 1.— wraz z katalogiem).

IV. O godz. 15-tej wspólny obiad w restauracji bazarowej

V. O godz. 22-giej „Bal Myśliwych" w Białej Sali Bazaru za zaproszeniami, które w najbliższym czasie będą rozesłane.

Wszystkich naszych PP. Członków oraz Sympatyków najuprzejmiej prosimy o łaskawy gremjalny udział w tem naszem święcie łowieckiem, a tem samem o przyczynienie się do uświetnienia naszego jubileuszu.



K a l e n d a r z l e ś n y i n f o r m a c y j n y, 1937. Rocznik XII. Wydawnictwo Oddziału Wileńskiego Związku Leśników w Rzeczypospolitej Polskiej. Pod redakcją inż. Wacława Dankiewicza. Str. 238.

Księgę „Kalendarza" otwiera „Wielkanoc 1919 roku" — przedruk z książki Marszałka Edwarda Śmigłego Rydza p. t. „Czyście o sile nie zapomnieli".

Jest to nadzwyczaj piękny wyjątek — strzęp osobistych przeżyć i nastrojów Polaka-patrjoty, żołnierza-wodza i artysty zarazem, idącego z nakazu serca i najgłębszych pragnień na zdobycie Wilna.

Za wybór tego wyjątku należy się Redakcji „Kalendarza" największa podzięka. Są to słowa, bijące prosto w tętno żywej miłości i poświęcenia dla ojczyzny — są to słowa, któreśmy wszyscy Polacy winni powtarzać — byśmy o sile nie zapomnieli..

Pisząc recenzję o tym „Kalendarzu" — jakkolwiek nie mam mu zbyt wiele do zarzucenia, a moja osobista sympatja jest całkowicie skierowana w jego stronę — muszę przedewszystkiem podkreślić, że wychodzi on daleko poza ramy „kalendarzowo-informacyjne", choć tak brzmi zasadniczo właśnie jego tytuł. Do tej sprawy powrócę, omawiając artykuł „O polskich kalenda-

rzach myśliwskich" Józefa Władysława Kobylańskiego, z którym nie zupełnie zgadzam się co do poglądów na to, jakim mianowicie powinien być „kalendarz".

Zarzut najważniejszy, jaki „Kalendarzowi leśnemu informacyjnemu", 1937 r. stawiam, jest ten, iż posiada zamało ogólnych informacyj (obchodzących wszystkich leśników powszechnie, a nawet niewątpliwie przez nich niemal codziennie użytkowanych), natomiast zawiera nawet w dziedzinach szczególnych artykuły zupełnie nieaktualne dla dzisiejszego zainteresowania leśnika, jak np. „Instrukcja bobrowniczego" i „Rosomak" — oba pióra J. Wł. Kobylańskiego, traktujące o sprawach minionych, zagasłych, znajdujących odbicie wyłącznie w specyficznem zainteresowaniu nielicznych jednostek historją łowiectwa i biografją zwierząt, w naszym kraju wymarłych, względnie legendą o nich.

To nie znaczy, iżbym uważał artykuły te za bezwartościowe, lub nie oceniał dostatecznie źródłowych wiadomości o przedmiocie ich autora. Przeciwnie, nierzadko jestem pełen podziwu dla jego mrówczej pracy, idącej drogą zapalonego szperacza i badacza przeszłości, częstokroć świetniejszej od tego, co nas dziś otacza. A p. Kobylański pracować w tym kierunku umie, jest zamiłowany — ba, prawie fanatyk!...

Skoro jednak oddaję autorowi tych artykułów zasłużone słowa uznania dla jego pracy historjograficznej, to muszę tembardziej podkreślić zasługę innych autorów, którzy zgodnie z intencją Redaktora „Kalendarza" złożyli się na resztę prac, związanych z dziedziną łowiectwa, potraktowanego w tem wydawnictwie z całkowitą świadomością jego wagi.

Tem skwapliwiej to notuję, że „Kalendarz leśny informacyjny" jest bądź co bądź wydawnictwem oficjalnem Związku Leśników R. P., urzędujących aktualnie na stanowiskach państwowych, podczas gdy w przeciwieństwie do tego urzędowe traktowanie łowiectwa „od biurka" sprowadza się, niestety, de nomine i de facto do nadawania mu oficjalnej nazwy „użytku ubocznego" i zasadniczo uboczna jest w większości poglądów i planów gospodarczych troska o nie.

Zanim przejdę do szczegółowego wyliczenia i scharakteryzowania tych prac — jako najbardziej nas myśliwych interesujących — uważam za potrzebne wyliczyć przynajmniej z tytułów prace, traktujące sprawy fachowo i ideowo-leśne, których jest istotnie pokaźna liczba:

„Dekret o państwowem gospodarstwie leśnem" — Stefana Ruśkiewicza. Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 30 września 1936 r. o państwowem gospodarstwie leśnem (ustawa in extenso). Ogólne zasady administracji lasów państwowych (rozdział I rozporządzenia P. R. z dnia 20 grudnia 1924 r. o organizacji administracji l. p.). „Rzut oka wstecz" — inż. Aleksandra Klimkiewicza. „Nowy gmach Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych". Szkolenie leśniczych (według zaczerpniętych przez redakcję Kalendarza informacyj od Głównego Inspektora L. P. p. Józefa Rosińskiego). Dyrekcja Naczelna Lasów Państwowych (wyliczenie działów i referatów, z uwzględnieniem personalnej listy szefów i kierowników). Dyrekcje Lasów Państwowych (w podobnym układzie). — Na tem miejscu uważam za konieczne podkreślenie braku przedstawienia personalnej listy oraz nazw nadleśnictw i leśnictw. — „Możliwości podniesienia produkcji użytkowego drewna osikowego" — inż. Jana Tomaki. „Szkic monograficzno-hodowlany osiki" — inż. Wacława Jędrysika. „Plantacje wikliny a przemysł chałupniczy na wsi" — inż. Leona Huszczy. „W sprawie słownictwa" (leśnego) — prof. Stanisława Sokołowskiego. „O zwalczaniu huby sosnowej" — inż. Henryka Orłosia. „Las a dobro narodu" — prof. dr. Ryszarda Biehlera. „Pojniki dla ptaków" doc. dr. Jana Sokołowskiego. „Kultywator leśny" — inż. Stefana Bilczyńskiego. „Las — puszcza w polskiej noweli i powieści — prof. dr Kuleszy (artykuł interesujący zarówno fachowca-leśnika, jak i myśliwego). „Z aktualnych zagadnień nasiennictwa" — inż. Wacława Krajskiego. „Zagadnienie odmian klimatycznych nasion sosny, świerka i dębu" — inż. Ryszarda Żywny. „Niektóre sposoby przechowywania nasion" — inż. J. R. Barczyńskiego.

Prócz tego „Kalendarz" zamieszcza wiersze: „Sosny na Helu" — inż. Romualda Kinlego i „O dumny lesie" — R. Pawłowicza.

Z innych „użytków ubocznych" zamieszczono jeden niezmiernie ciekawy artykuł: „Zarys pstrągarstwa" — prof. dr. Edwarda Schachtla.

Wreszcie jedna praca bibljograficzna: „O polskich kalendarzach myśliwskich" — o której już wspomniałem.

Na treść łowiecką składają się prace fachowe i literackie.

W pierwszej grupie znajdujemy: „Łowiectwo na terenie ziem północno-wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej" — inż. Wacława Dankiewicza. Autor tej pracy jest Redaktorem „Kalendarza" i temu zapewne zawdzięczamy to stanowisko wydawnictwa, jakie zajmuje w odniesieniu do łowiectwa. Rysuje się ono niezwykle wyraźnie przedewszystkiem w tym referacie, powtórzonym tu drukiem, a wygłoszonym we wrześniu 1936 r. na II Międzynarodowym Kongresie Leśniczym w Budapeszcie. We wstępie inż. Dankiewicz dotyka przeszłości łowiectwa tyle, wiele to jest dla ogólnej orjentacji konieczne, następnie dostatecznie wyczerpująco charakteryzuje lasy Wileńszczyzny i rozmieszczenie w nich zwierzostanów, wreszcie opisuje stan obecny gospodarki łowieckiej w tej połaci kraju i jej zdobycze. Następną częścią referatu są krótkie charakterystyki szeregu zwierząt łownych i ptaków, bardzo słuszne poglądy na możliwości przyszłego ich rozrostu ilościowego i wreszcie nadzwyczaj trafne uwagi, dotyczące pożądanych, z punktu widzenia myśliwego-hodowcy i opiekuna bogactwa naturalnego, zawartego w zwierzostanach — zmian w obowiązujących dziś okresach ochronnych. Zdaniem Autora: wilk i lis powinny otrzymać ochronę od 1 kwietnia do 31 października; pardwa od 1 lutego do 31 sierpnia; cietrzew dodatkowo od 16 do 31 sierpnia i przez cały marzec (koguty); kaczka dodatkowo od 16 do 31 lipca; natomiast słonkę powinno być dozwolone strzelać do 31 maja, bowiem na Wileńszczyźnie w maju ciągną słonki najlepiej, zaś im późniejsza wiosna, tem pewniejszem jest, że ciągną wyłącznie samce, gdyż samice siedzą na gniazdach.

Doskonale opracowany jest artykuł Red. Michała K. Pawlikowskiego p. t. „Jak zachowywać się na polowaniu?" Jest to abecadło kanonów etyki myśliwskiej, jakich każdy kulturalny myśliwy powinien surowo przestrzegać, dając przy tej sposobności przykład młodym adeptom kunsztu myśliwskiego. Zasady te, niestety, w polskiem społeczeństwie myśliwskiem, jak dotąd, są w wielu wypadkach lekceważone i naruszane także i przez starszych myśliwych!...

Leopold Pac-Pomarancki (omyłkowo w „Kalendarzu" przechrzczony na Leona...) daje dwie prace. Artykuł „O pardwie" jest pobieżnym szkicem monograficznym pardwy, jej życia i warunków bytowania. Szkic ten, jak wszystkie inne, drukowane dotychczas z tego działu (słonka, dubelt, wrona), jakie wyszły z pod pióra Pac-Pomarnackiego, przynosi chlubę Autorowi zarówno pod względem znajomości przedmiotu, jak i formy stylu i posługiwania się językiem.

Te ostatnie zalety występują jednak najwybitniej w literackim obrazku p. t. „Wiosenne nastroje", w którym Autor opisuje swe wrażenia, płynące bezpośrednio z otaczającej przyrody i budzącego się na jej tle życia, obserwowanego z budki na cietrzewie, w pierwszej połowie maja, nad „Leśnem jeziorem". Pac-Pomarnacki zawsze odznaczał się tem, że umiał okiem i uchem zbliżyć do siebie całe tło i otoczenie, nie roniąc z jego nastrojów i najdrobniejszych szczegółów nic absolutnie, a malując to wszystko przed czytelnikiem tak wiernie, barwnie i plastycznie, że współżyje się z jego przygodą i z jego przeżyciami z całem napięciem, prawdą i zachwytem nad cudami natury i odbicia ich w wyobraźni czytelnika. W tym ostatnim drobnym obrazku jest Pac-Pomarnacki dosłownie doskonałym malarzem-poetą i obserwatorem. Kto wie, czy wkrótce nie zajmie on pod tym względem czołowego miejsca pomiędzy piszącymi obecnie autorami łowieckimi — czego mu szczerze życzę...

Literacki obrazek Włodzimierza Korsaka p. t. „Fragmenty jesienne" (urywki przygotowanej do druku powieści „Piękno w lesie") jest świetnym opisem lasu i jego piękna; podpatrzonego umiejętnie i odczutego subtelnie. Korsak ma ustaloną opinję doskonałego pisarza-myśliwego. „Fragmenty jesienne" są jeszcze jedną perełką, wydobytą z wrażliwej duszy Autora, tym razem zespolonej z duszą lasu, który kocha jednako w złotem słońcu jesieni i wśród nawałnicy wichru, i w siepiący deszcz pod beznadziejnie szarą płachtą nieba. Korsak zresztą jest malarzem nietylko piórem, lecz i pendzlem.

Pozostaje mi jeszcze wrócić do artykułu Józefa Wł. Kobylańskiego p. t. „O polskich kalendarzach myśliwskich". Mniejsza o to dlaczego został on włączony do „Kalendarza leśnego infor-

macyjnego", choć uważam, że w istocie ta źródłowa praca bibljograficzna nadaje się przedewszystkiem do wydawnictw specjalnych z tej dziedziny, pozatem mogłaby być raczej drukowaną w jednym z czasopism łowieckich. Ale więcej chodzi mi o niektóre poglądy Autora, z któremi w żaden sposób nie mogę się zgodzić, a i on sam poniekąd w nich sobie przeczy:

W jednem miejscu powiada: „...Kalendarze te hołdowały dwum koniecznym zasadom: były z jednej strony publikacją, podręcznikiem, mającym służyć przez cały rok, jako źródło wszelakich praktycznych (moje podkreślenie) informacji, z innej strony były wydawnictwem, popularyzującym pewne wiadomości i pojęcia wśród szerokich warstw ogółu".

Sądzę, że i Sz. Autor rozumie taksamo, jak ja, to ostatnie określenie, czego jednak wyraźnie tu nie dopowiada, ale które, logicznie biorąc, należy tak uzupełnić: „popularyzującym wiadomości i pojęcia wśród szerokich mas ogółu (warstwy, zawodu i t. d.), dla którego dany Kalendarz został wydany" — nieprawdaż?

Dalej mówi: „Wydawnictwa te, stanowiące dziś pokaźny dorobek w literaturze łowieckiej, powinny być przewodnikiem i informatorem myśliwega i myśliwego-hodowcy (moje podkreślenia), a wreszcie przyjemną rozrywką.

Dalej „Kalendarz myśliwski" nazywa „wspaniałą i niezawodną formą reklamy i propagandy (spraw łowieckich oczywiście? — mój dopisek). Zgoda.

Aż tu raptem w zakończeniu artykułu p. Kobylański, okazuje się, jest niezadowolony z obecnej formy i treści ukazującego się od szeregu lat „Kalendarza myśliwskiego", jak powiada: „rozmiaru niezgrabnego notesu". Ale mniejsza o format, to kwestja osobistego gustu. Ja także wolałbym widzieć ten kalendarz w formie pięknie i bogato wydanej książki, któraby przynosiła chlubę... finansom Związku (wydawcy) a przedewszystkiem społeczeństwu myśliwskiemu, które, wiele czytając, wydawałoby więcej pieniędzy na... grymasy estetyczne i zewnętrzne; społeczeństwu, któreby chociaż w 50 proc. znalazło się impulsywnie pod wspólnym sztandarem Związkowym. Ale czyż tak jest — i kiedyś to nastąpi? Tego p. Kobylański nie rozstrzyga. Daj Boże jaknajprędzej! Narazie więc Związek musi popularyzować abecadło łowieckie w kalendarzu skromnego formatu, zwracając całkowitą uwagę na jego właściwą, konieczną treść.

Ostatni „Kalendarz myśliwski" na 1937 r. zawiera nie ponad 300, lecz ponad 400 stron druku (a więc został znacznie rozszerzony), a i tu nie znalazł miejsca na... rozrywki, nawet na utwory literackie (których jest jednak wogóle tak mało, gdy chodzi o wielką klasę!). Ale nie zaniedbał niczego więcej, co p. Kobylański wylicza i czego na przyszłość od kalendarza tego wymaga: wszelakich praktycznych informacji myśliwego i myśliwego hodowcy (vide ogłoszenie o tegorocznym „Kalendarzu myśliwskim": str. II okładki w numerze niniejszym „Ł. P."), stając się niezbędnym podręcznikiem dla każdego kulturalnego myśliwego, a tem więcej dla młodych.

Więc poco było krytykować to, co jest według właściwej recepty zrobione?

Na literaturę mamy czas, musimy mieć czas, bo Związek świeci dotąd jeszcze pustkami na fotelach członkowskich w porównaniu do 50.000 polskich myśliwych, a budżet Związku z roku na rok trzeszczy.

Ale się nie dajemy. A zawdzięczamy to także poniekąd i „Łowcowi Polskiemu" i „Kalendarzowi Myśliwskiemu".

Z tem wszystkim „Kalendarz leśny informacyjny" jest, jako kalendarz-jednodniówka, niezmiernie ciekawy, a myśliwi powinni być wdzięczni Redakcji tego wydawnictwa, że poświęciła wiele miejsca w niem łowiectwu i znalazła wolne szpalty na kilka pięknych utworów literackich.

WŁ. Z.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

OESTERREICHS WEIDWERK.

Nr. 21/1936, str. 329. U. W. *„Coś niecoś o leśnych polowaniach z naganką"*. — Powodzenie polowań z naganką zależy w pierwszym rzędzie od osoby, organizującej i prowadzącej polowanie. Dokładna znajomość rewiru i stanu zwierzyny, sprężyste kierownictwo naganką, wreszcie uprzejme, ale stanowcze ustosunkowanie się do biorących udział w polowaniu myśliwych — stanowią nieodzowny warunek powodzenia. Najcięższy krzyż ma kierownik polowania najczęściej właśnie z myśliwymi. Toteż im przedewszystkiem należy wpoić podstawowe zasady zachowania się na podobnych polowaniach zbiorowych. Do tego rodzaju elementarnych wymagań zaliczyć należy przykazania następujące: nie wolno po zajęciu stanowiska wchodzić w las, aby wycinać zasłaniające, rzekomo, widok gałęzie, gdyż można w ten sposób przepłoszyć zwierzynę; nie wolno schodzić ze stanowiska, póki cała naganka nie wyjdzie na linję strzelców; nie wolno strzelać do celu dobrze nie rozpoznanego, aby nie ubić zwierzyny niedozwolonej w danym czasie, albo też nie postrzelić naganiacza; nie wolno strzelać zwierzyny, idącej wyraźnie na sąsiada; nie wolno prowadzić strzelbą za zwierzyną, przebiegającą linję myśliwych; nie wolno krytykować zarządzeń kierownika łowieckiego lub narzekać na wyznaczone stanowisko; nie wypada spierać się z sąsiadami o wynik strzału do drobnej zwierzyny; nie należy śpieszyć z odjazdem po zakończeniu polowania, aby nie psuć nastroju koleżeńskiego.

Z rozstawieniem myśliwych ma łowczy często dużo kłopotu. Najsprawiedliwsze rozwiązanie — losowanie stanowisk — jest niezawsze do zrealizowania, gdyż zachodzi często potrzeba uwzględnienia wieku myśliwego, jego zdolności do odbywania dłuższych przejść, umiejętności strzeleckiej, wreszcie stanowiska towarzyskiego. Pozatem niezawsze wiadomą jest zgóry liczba uczestników. Przy liczbie większej, niż dozwala linja strzelecka, t. j. z uwzględnieniem odległości pomiędzy stanowiskami na 50—60 metrów, należy obstawiać myśliwymi boki miotu, ale nigdy nie pozwalać na posuwanie się myśliwego razem z naganką, gdyż jest to połączone z dużem niebezpieczeństwem dla linji strzelców. — Autor wypowiada się zdecydowanie przeciwko ogłaszaniu po polowaniu „króla" na podstawie największej ilości ubitej zwierzyny. Wynik taki zależy bowiem najczęściej od t. zw. szczęścia, t. j. zbiegu pomyślnych warunków, niezależnych od myśliwego, tymczasem pogoń za rekordem ilościowym wprowadza przykry moment chciwości, wywołujący zatargi pomiędzy sąsiadami i męczący nastrój koleżeński. Bardziej usprawiedliwionem byłoby przyznanie tytułu dobrego strzelca na podstawie stosunku ilości strzałów celnych do pudeł, braku postrzałków i t. p. ale na polowaniu są to momenty trudne do skontrolowania ściślego, toteż odpowiedniejszemi do tego są standy i konkursy strzeleckie.

DEUTSCHE JAGD.

N. 32/1936 str. 619 W. Kirkwood *„Polowanie na grousy w Anglji"*. — Właściciel terenów z polowaniem na grousy zaliczany jest w Anglji do uprzywilejowanych „dziesięciu tysięcy" — tak kosztowną jest bowiem hodowla i ochrona tego względnie delikatnego ptaka. Obliczono, iż każda ubita sztuka grousa kosztuje właściciela od 20 do 30 szylingów, a jeżeli się zważy, że w jednym dniu polowania pada ich na jednym terenie po tysiąc i więcej sztuk, to łatwo wyobrazić sobie do jakich liczb astronomicznych dochodzą koszty utrzymania polowania na grousy. Prawda, że za ptaki padłe w pierwszym dniu polowania — 12 sierpnia (t. zw. „Twelfth") — modne restauracje płacą po 15 — 20 szylingów, aby módz dogodzić snobom. Ale już w dniach następnych cena grousów spada do 5 — 6 szylingów, a po paru tygodniach — nawet do 1,5 — 2 szylingów. — Polowanie na grousy odbywa się w sposób dwojaki: póki ptaki dotrzymują, poluje się w małem towarzystwie z wyżłami, później urządza się, jak u nas na kury, pędzenia, przyczem myśliwi ukrywają się za kosze, wysokie niemal na wzrost myśliwego. Pędzenie trwa godzinę, poczem psy — retrievers — zbierają strzelone sztuki. W ciągu dnia odbywa się 5 — 6 pędzeń. O wynikach świadczą liczby następujące. Znany myśliwy z hrabstwa Yorkshire, który w 1934 r. święcił 50 lat polowania, ogłosił księgę swych rozkładów łowieckich dzień po dniu. Ogółem upolował on: grousów — 52.393, kuropatw — 13.366, bażantów — 51.216, zajęcy — 5.875, królików — 23.615, słonek — 841, pozostałej zwierzyny — 2.672, razem 149.978 sztuk. Największa ilość grousów, ubitych przez niego w ciągu jednego dnia, wynosiła 332 sztuki w 5 pędzeniach.

*) Nie wolno stać inaczej, jak pod knieją, aby uniknąć wypadku i nie utrudniać sąsiadom strzału. *(Przyp. red.)*

J. G.

KŁUSOWNICTWO.

(-zet-) Na Wileńszczyźnie od czasu do czasu urządzane są przez komendy powiatowe policji państwowej walne obławy na kłusowników w lasach państwowych i prywatnych. Rezultaty takich obław są zawsze dodatnie, gdyż przy tej sposobności udaje się zlikwidować wiele nielegalnie posiadanej broni, o czem czytaliśmy na tem miejscu już niejednokrotnie.

W grudniu ub. r. odbyła się taka obława w okolicach Dokszyc pow. dziśnieńskiego. Schwytano trzech kłusowników podczas uprawiania ich procederu.

Byłoby wielce pożądanem, aby Panowie Delegaci powiatowi — na mocy okólnika Min Spraw Wewnętrznych o współdziałaniu władz administracyjnych z oficjalnymi przedstawicielami zorganizowanego łowiectwa — postarali się o usprawnienie działalności policji państwowej w tym kierunku tam, gdzie akcji poszukiwania kłusowników i likwidowania nielegalnie posiadanej broni nie podejmowano dotąd metodycznie.

*

(-zet-) W majątku Srebrna, pow. płockiego, został postrzelony przez kłusownika polowy Franciszek Sandomirski. Rannemu w obie nogi udzielił pomocy lekarz, poczem przewieziono go do szpitala w Płocku.

Kłusownikiem był jeden z kolonistów - Niemców z Maszewa. Zbrodniarza, który uciekł i ukrył się, poszukuje policja.

*

(-zet-) Pod Będzinem, na polach grodzieckich, straż leśna maj. Grodziec, napotkała kłusowników, których usiłowała zatrzymać i wylegitymowac. Udało się to z jednym, Walentym Jureckim z Będzina, od którego odebrano dwie dubeltówki.

Drugi, Stefan Wachowicz, podczas ucieczki został postrzelony przez gajowych w bok i rękę. Odwieziono go do szpitala.

*

(-zet-) W połowie grudnia ub. r. gajowy lasów państwowych w gminie olkienickiej, Jan Gil, zamieszkały w Mostach, spotkał Jana Matkiewicza, kłusownika ze wsi Mosty, który jechał na rowerze z nielegalnie posiadaną bronią.

Kiedy Gil chciał kłusownika zatrzymać, ten ostatni porzucił rower i usiłował zbiedz w las. W tym momencie jadący wozem dwaj bracia, Andrzej i Józef Wersoccy, zatrzymali się i unieruchomili gajowego dla niedopuszczenia do ujęcia Matkiewicza.

Kłusownik, zachęcony niespodziewaną odsieczą, powrócił, uderzył steroryzowanego gajowego dwukrotnie w twarz, zabrał rower i odjechał z Wersockimi.

Złożono w tej sprawie zameldowanie do policji.

*

(-zet-) Mieszkaniec kol. Biała, pow. płockiego, Gustaw Frajchajt, został ciężko postrzelony śrutem w brzuch przez kłusownika, który polował nielegalnie na terenach Frajchajta.

Zbrodniarzem okazał się Piotr Bidziński, którego schwytano z bronią w ręku i przekazano do dyspozycji władz sądowo - śledczych.

Ciężko rannego F. przewieziono do szpitala w Płocku.

*

(-zet-) W końcu grudnia zamordowano pod Krakowem gajowego lasów hr. Potockich, Walerjana Przepiórkę.

Poszukiwania za zabójcą dały wynik pozytywny. Aresztowano J. Strojka, rolnika, który przyznał się do morderstwa, tłomacząc swój czyn tem, że „napotkanego Przepiórkę wziął za złodzieja, który grasuje na jego polu".

*

(-zet-) Gajowy majątku Konopnica w powiecie rawsko-mazowieckim, przechodząc przez las, usłyszał huk wystrzałów. Domyślając się, że są to strzały kłusowników, udał się w kierunku odgłosów i natknął się na czterech osobników, polujących w lesie. Ci, widząc strażnika leśnego, rzucili się do ucieczki.

Gajowy, chcąc odebrać kłusownikom broń, wezwał ich do zatrzymania się, poczem, widząc, że wezwanie nie skutkuje, strzelił dwukrotnie w kierunku zbiegów. Śrut trafił jednego z uciekających, Franciszka Kroskiego ze wsi Fryszek, raniąc go w głowę i plecy.

Rannego umieszczono w szpitalu. Jednocześnie wszczęło śledztwo celem ustalenia nazwisk pozostałych kłusowników.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W maj. Trembki u pp. Gustawostwa Janaszów odbyły się w sezonie 1936 roku następujące polowania:

Dnia 27.IX. polowano w 12 strzelb na pędzone kuropatwy Podniesiono 617 kuropatw 4 różne. Razem 621 sztuk.

Dnia 7 listopada polowano na bażanty - koguty. W 9 strzelb ubito: bażantów - kogutów 870, kuropatw 36, królików 49, zajęcy 4, różnych 3. Razem 962 sztuki.

Dnia 15 grudnia polowano w 12 strzelb na zające. Przy odwilży i niezamarzniętej ziemi ubito: zajęcy 1170, bażantów - kogutów 150, królików 5, lisa 1, różnych 4. Razem 1330 sztuk.

Pozatem na terenie ubito kuropatw 55, bażantów — 10.

Ogółem w sezonie podniesiono: kuropatw 708, bażantów-kogutów 1020, zajęcy 1174. Razem zwierzyny łownej 2902 sztuki.

— Polowanie doroczne w bażantarni Zawiszyn Dóbr Łochów odbyło się dnia 2 grudnia 1936 r. w 8 strzelb. Ubito 1602 bażanty, 40 zajęcy, 2 kuropatwy. Najwięcej miał na rozkładzie książę Olgierd Czartoryski (274 sztuki).

W pierwszym miocie, remizy w polu — ubito 796 sztuk bażantów — niebywały rezultat!

Drugiego dnia miało być polowanie w bażantarni Biały Ług — w nocy jednak napadało ½ m. śniegu, wskutek czego wzięto tylko kilka miotów; ubito 326 bażantów i 80 zajęcy, poczem polowanie przerwano.

— Na terenach majątku Czarny Las i dzierżawionych, polowano:

1) Dn. 30.XI w 8 strzelb, przy fatalnej pogodzie (śnieżyca i zadymka). Ubito: bażantów 113, kuropatw 46, kaczorów 8, zajęcy 78; razem 245 szt.

Najwięcej na rozkładzie mieli A. Steinhagen jrn. i G. hr. Henckel Donnersmarck.

2) Dn. 5.XII w 10 strzelb przy ładnej pogodzie, ubito: zajęcy 243, bażantów 12, różne 3; razem 258 szt.

Najwięcej na rozkładzie mieli: A. Steinhagen jnr. i W. bar. Lewartowski.

3) Dn. 21.XII, poprawka w 6 strzelb. Ubito: bażantów 43, zajęcy 19, królików 4, różne 2; razem 78 szt.

Ogółem na trzech polowaniach podniesiono 581 sztuk.

— Dnia 21 listopada 1936 r. odbyło się polowanie w maj. Osiek p. Antoniego Czaplickiego, w pow. płockim. Ubito 316 zajęcy, 38 kuropatw i 1 bażanta. Najwięcej na rozkładzie miał p. Stefan Pruski ze Złowód (34 sztuki).

— Dnia 5 grudnia ub. r. odbyło się polowanie w maj. Setropie p. Karola Grabowskiego, w pow. płockim. Ubito 255 zajęcy, 61 kuropatw (za zezwoleniem województwa). Najwięcej zabił p. Stanisław Grodzicki z Borucina, mając na rozkładzie 26 zajęcy i 25 kuropatw.

TREŚĆ NUMERU:

NASTĘPUJĄCE DZIEŁA są do nabycia w administracji i z ustępstwem 15% rabatu dla prenumeratorów „ŁOWCA POLSKIEGO":

1. **Bażant łowny** — C. Cronau . . . zł. 3.—
2. **Blankiety rodowodów dla psów wszystkich ras** . . . . zł. 2.85
3. **Choroby zwierzyny łownej i sposób ich zwalczania**—Inż. Leona Martyńca . . . zł 0.50
4. **Czy możliwe jest obecnie i jaką drogą odrodzić wymierającego żubra** d-ra K.Wróblewskiego zł. 4.60
5. **Dubeltówka śrutowa. Nabój. Strzelanie** H. Downar-Zapolskiego . . . . zł. 2.—
6. **Ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla naszego kraju** — F. Rożyńskiego i d-ra E. Schechtla zł. 2.—
7. **Epizody myśliwskie w życiu Marszałka Piłsudskiego Józefa**—Wł. Kobylańskiego zł. 1.—
8. **Estetyka łowiectwa** — Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 2.—
9. **św. Eustachy** — Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 3.—
10. **Głuszec** — Monografja. Bolesława Świętorzeckiego zł. 2.40
11. **Hodowca a myśliwy** Ernestra hr. Sylva Tarouca zł. 3.—
12. **Hodowla bażantów** — dyr. Henryka Kemmera zł. 3.—
13. **Humor i łacina myśliwska** J. Wł Kobylańskiego zł. 1.50
14. **Jak powstał w odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie**—J.Wł. Kobylańskiego zł. 3.—
15. **Jak unikać wypadków z bronią** — J. Sztolcmana . . . . zł. 0.25
16. **Jarząbek**—Monografja Ottona Pereświet-Sołtana zł. 1.—
17. **Kalendarz Myśliwski** — na 1931, 1932, 1933, 1934, 1935 i 1936 rok . . . . . po zł. 2.—
18. **Kalendarz Myśliwski na rok 1937** . . zł. 3.—
19. **Karczma pod wilkiem** -Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 1.50
20. **Krajobrazy i polowania w Polsce** — Pierre Coche'a w języku francuskim . . . . zł. 6.50
21. **Krótki praktyczny podręcznik tresury psa myśliwskiego** — K. Zarubina . . . zł. 2.—
22. **Kruk** — Monografja K. hr. Wodzickiego . . zł. 4.50
23. **Lis** — Monografja Jerzego Dylewskiego . . zł. 3.—
24. **Myśliwska Teka Fałata** — 8 plansz . . zł. 15.—
25. **Myślistwo z ogary** — Jana hr. Ostroroga . zł. 1.50
26. **Myślistwo w Panu Tadeuszu** — M. Mniszka Tchorznickiego . . . . zł. 0.30
27. **Myślistwo Wschodnie** — Księga pamiątkowa łowiectwa wschodniego bez rabatu . . . . . . zł. 5.—
28. **Nad Nilem niebieskim** — Jana Sztolcmana . . zł. 6.—
29. **Nasze psy** — St. Błockiego (bez rabatu) . zł. 7.—
30. **Nasze skrzydlate drapieżniki**— Monografja Wł. Gürtlera . . . . zł. 2.30
31. **O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie** — J. Wł. Kobylańskiego. . . . zł. 1.50
32. **O łosiu**—J. Wł. Kobylańskiego. . . . zł. 2.—
33. **O wronie i walce z nią w łowisku** — L. Pac-Pomarnackiego . . . . zł. 1.—
34. **O zwierzyńcu w Częstochowie, Grodnie Katowicach Krakowie i Lesznie** — J. Wł. Kobylańskiego . . . . zł. 1.—
35. **Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt** — d-ra Wł. Polińskiego — zeszyt I — 1.40, zeszyt II—zł. 2.50, zeszyt III—zł. 1.20 zeszyt IV—zł. 0.50, zeszyt V—zł. 1.—, zeszyt VI—zł. 2.— zeszyt VII—zł. 2.— . . . . komplet zł. 10.60
36. **Polująca pani**—Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 3.50
37. **Posokowce** — Inż. Leona Ossowskiego zł. 1.—
38. **Próba uporządkowania bibljografji w odrodzonej Polsce** M. Mniszka-Tchorznickiego zł. 2.50
39. **Przepisy: O broni, amunicji i materjałach wybuchowych; łowieckie**—H. Maletza zł. 2.50
40. **Ramoty myśliwskie** Wł.Janty-Połczyńskiego zł. 3.—
41. **Raporty dla strażników łowieckich** zł. 1
42. **Skowronek**—K. hr. Wodzickiego . . zł. 3.60
43. **Szczęśliwe dni.** Stefana hr. Badeniego (bez rab.)zł. 18.—
44. **Tablice ścienne** do określania ptaków drapieżnych i krukowatych — J. Sztolcmana . . . zł. 0.50
45. **Uwagi o polowaniu na jelenie podczas rykowiska. Na przesmyku** —Inż.T. Śliwińskiego zł. 1.—
46. **Wabienie wilków**—Ottona Pereświet -Sołtana zł. 0.75
47. **W cesarstwie Menelika** — Cz. Odrowąż-Pieniążka . . . . zł. 3
48. **W polu i w lesie**—Wł. Gürtlera . . zł. 1.—
49. **W stepach i puszczach** Wł. Czerniejewskiego zł. 1.—
50. **Wycenianie trofeów myśliwskich** A. Dyk'a .zł. 1.50
51. **Żubr.** Historja, obycz. i przyszłość—J. Sztolcmana zł. 3.30
52. **Żywienie jeleni i sarn** d-ra Maxa Neumeistera zł. 1.20

Za przesyłkę poleconą (przy wpłacie zgóry) dolicza się zł. 1.—
Za zaliczeniem pocztowem — najmniejsza dopłata zł. 1.50

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Gryminski, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, St Koszutowski, St. Leski, M. Mniszek-Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, W. Szperling, K. Świderski, B Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. Miesięcznie zł. 2.50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu — 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

NA SEZON ZIMOWY

polecamy

znakomite naboje śrutowe

W. S. M. „Jubileuszowe"

ładowane pierwszorzędnym bezdymnym prochem „Sokół"

PAŃSTWOWEJ WYTWÓRNI PROCHU W PIONKACH

SPRZEDAŻ w WARSZAWSKIEJ SPÓŁCE MYŚLIWSKIEJ

w Warszawie ul. Królewska 17

i w ODDZIAŁACH:

Poznaniu Pierackiego 12, **Lwowie** Plac Marjacki 4, **Wilnie** Wileńska 10

ORAZ WE WSZYSTKICH SKŁADACH BRONI

MISTRZOSTWO ŚWIATA w Berlinie 26-28 lipca 1936 r. MISTRZOSTWO POLSKI w Warszawie 12-14 lipca 1936 r.

zdobył **JÓZEF KISZKURNO**

wielokrotny Mistrz Polski i dwukrotny Mistrz Świata

z dubeltówki **PAUL SCHOLBERG, Liège**

NABYTEJ W FIRMIE

SKŁAD BRONI „ŁOWIEC"

Warszawa — Widok 22

WILHELM ZIEGENHIRTE

WYŁĄCZNY PRZEDSTAWICIEL NA POLSKĘ.

PRACOWNIA

WYPYCHANIA PTAKÓW I ZWIERZĄT

ORAZ OPRAWA ROGÓW, WYPRAWA SKÓR I WYRÓB DYWANÓW

ANTONIEGO **ŁASTOWSKIEGO** I SYNA

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 22 m. 19

(obok Szpitala Ś-go Rocha). Telefon 537-84

Airedale-terriery, szczenięta 2 miesięczne z rodowodami Polskiego Zw. Hodowców Psów Rasowych, po psach importowanych, nagradzanych na wystawach krajowych. Znakomita rasa psów obronnych i tropowców (dziki). Informacje: maj. Zarzeczowo Stare, poczta Włocławek, skrz. poczt. Nr. 160.

Bażanty, dzikie króliki, oraz rośliny pastewne dla zwierzyny i sadzonki leśne poleca **Zarząd Lasów XX Czartoryskich w Babkach** poczta **Krzesiny**, Wielkopolska. Prosimy żądać bezpłatnych cenników!

PRACOWNIA

WYPYCHANIA PTAKÓW I ZWIERZĄT ORAZ OPRAWA ROGÓW, WYPRAWA SKÓR I ROBIENIE DYWANÓW

WIKTORA ŁASTOWSKIEGO

Warszawa, Krakowskie - Przedmieście Nr. 10 m. 7

(wprost kościoła Ś-go Krzyża) Telefon 686-78

Gajowy, znający się na zalesianiu terenów, zakładaniu szkółek, użytkowaniu lasów, hodowli zwierzyny i t. d., przyjmie posadę natychmiast. Oferty dla „J. K.".

Gajowy młody, energiczny, poszukuje posady, z dobremi świadectwami, parę lat praktyki leśnej. Józef Barcz, poczta Zaborów k/Błonia, wieś Mariew, pow. Warszawski.

Leśnik bażantarnik (szkoła leśna), lat 27, kawaler poszukuje posady leśnika hodowcy zwierzyny, hodowli sztucznej i dzikiej. Pierwszorzędny tępiciel drapieżników i kłusowników, od samej młodości przy ojcu swym łowczym, który pracował 24 lata w Krośniewicach. Przyjmie posadę od zaraz, lub 1/IV 1937 r. Wymagania b. skromne. Łaskawe oferty: Bolesław Łysiak, maj. Łubno, p. Krośniewice.

Leśnik - bażantarnik zawodowy, znający dobrze swój zawód, sztuczną hodowlę bażantów, kuropatw i kaczek, łowienie zwierzyny żywej, zajęcy, bażantów, kuropatw i t. p. w sieci i klatki, pierwszorzędny tępiciel drapieżników, znający również prowadzenie poręb szkółek i trzebieży, z 24-letnią praktyką, poszukuje posady od 1 kwietnia. Franciszek Gębicki, maj. Rudniki, poczta Zawiercie, woj. Kieleckie.

Linijka, powóz do polowania, wyrób pierwszej klasy, na gumach, osie patentowane, zupełnie jak nowa, nadająca się na pierwszorzędną wozownię — do sprzedania. Obejrzeć można A. Morawski, Poznań, Dąbrowskiego 98, w podwórzu.

Lisy zwykłe żywe 14 sztuk do sprzedania. Zarząd dóbr Poturzyn, poczta Poturzyn, woj. Lubelskie.

Otomana myśliwska z rogów jelenich do sprzedania, Antoni Łastowski i Syn, Warszawa, Krak. Przedm. 22 m. 19. telefon 537-84.

Podleśniczy-objazdowy lat 33, czternaście lat praktyki, żonaty, 1 dziecko, na ostatniem stanowisku 6 lat, szuka z powodu redukcji od 1.IV.37 równorzędnego lub samodzielnego stanowiska, ew. łowczego-strzelca, prowadzi księgowość leśną, trąbi sygnały. Łaskawe oferty prosi do Adm. Dóbr Wieniec, poczta Włocławek, dla „Objazdowego".

Poszukuje się bażantarnika do Łochowskiej bażantarni. Reflektuję tylko na pierwszorzędną siłę, dobrze obeznaną ze sztuczną hodowlą bażantów. Oferty do Dyrekcji Lasów w Łochowie.

Poszukuję gajowego strzelca, umiejącego tresować wyżły. Rekomendacje. Warunki do omówienia, poczta Stołpce, nadleśnictwo Okińczyckie, woj. Nowogródzkie.

Sarn żywych większą ilość z hodowli na dziko do sprzedania. Wiadomość: J. Kamocki, Milanówek k/Warszawy, ul. Grudowska Nr. 12.

Sprzedam sukę 6-cio miesięczną niemkę krótkowłosą, bardzo ładną, za 70 zł. Wiadomość: Otton Pereświet-Sołtan, poczta Krzywicze, maj. Klarjanów, woj. Wileńskie.

Sztucer Magnum Mannlichera 8 x 60, prawie nowy z lunetą 4 krotną Zeissa, sprzedam. Cena ok. 600 zł. Oferty do Redakcji pod Nr. 2327.

Zamieni się z hodowli bażantów kogutów „Mongołów" 10—12 sztuk dla odświeżenia rasy. Wiadomość: nadleśnictwo Okińczyce, Leona ks. Radziwiłła, poczta Stołpce.



PRZY ZNANEM MUZEUM PRZYRODNICZEM

STEFANA GREULICHA

Warszawa, Nowy Świat 61

z dniem 1 stycznia 1937 r. została otwarta pod doświadczonem kierownictwem właściciela

PRACOWNIA WYPYCHANIA PTAKÓW, ZWIERZĄT I PREPAROWANIA SZKIELETÓW

Ceny konkurencyjne